KWARTALNIK KRESOWY
2025, nr 3 (27)

Krzysztof Bąkała
Muzeum Niepodległości w Warszawie
ORCID: 0000-0002-8713-5711

Trzy życia Felicji Polkowskiej. Część II

Słowa kluczowe
Felicja Polkowska, II wojna światowa, deportacje, kołchozy, los polskich nauczycieli, Polonia brytyjska, Kazachstan

Streszczenie
Materiał stanowi drugą część wspomnień Felicji Polkowskiej, wydanych w języku angielskim przez Derbyshire Country Council Libraries & Heritage Department w 2000 roku. Intencje autorki w przedmowie przedstawiła Jenny Edgar, redagująca wspomnienia, wyrażając przekonanie o ich wartości i znaczeniu dla wielu osób. Publikacja nie miałaby większych szans na popularyzację wśród czytelników, zwłaszcza polskojęzycznych, gdyby nie poszukiwania genealogiczne, które przeprowadziła Linda Polkowski – wnuczka autorki. Zdarzeniem losu odnalazła swych krewnych w Polsce, którzy żywo zainteresowali się ich treścią. W następstwie tego jej polska kuzynka Grażyna Liana, mając świadomość ich wartości, postanowiła z powodzeniem zainteresować nimi redakcję ,,Kwartalnika Kresowego". Materiał stanowi ważny przyczynek historyczny do tematyki dotyczącej tragicznych losów ludności polskiej zamieszkującej wschodnie tereny II RP, po zajęciu ich przez Związek Radziecki.

MAJ 1941
POWÓDŹ

W maju słońce mocno przygrzało. Śnieg zaczął szybko topnieć, a potoki wody spływającej ze wzgórz zalały naszą ulicę. Wkrótce woda w naszym domu sięgała po kolana. Ratowaliśmy nasz

dobytek, kładąc go na ławkach. Maria ze swoimi rzeczami wspięła się na łóżko. Dzieci wraz z moją mamą przykucnęły na drugiej ławce. Zdjęłam buty i wyszłam w poszukiwaniu pomocy. Trudno było chodzić w głębokiej, zimnej wodzie. Wiatr poruszał jej powierzchnią. Wkrótce zakręciło mi się od tego w głowie.

Ulica była bardzo długa. Idąc nią, poczułam po pewnym czasie wznoszenie się gruntu i na końcu drogi stanęłam na suchej ziemi.

W biurze dali mi do pomocy woły i wóz. Następnie znalazłam dla nas wszystkich miejsce, w którym moglibyśmy się chwilowo zatrzymać.

Ludzie w stodole zgodzili się zrobić miejsce dla Marii B. Pani Jasińska zabierała wszystkich moich chłopców do spania na swoim rosyjskim piecu. Stary irański garncarz, szewc i ich rodziny udostępnili dla mnie i matki kącik w swoim dużym pokoju. Kiedy woda opadła, znaleźliśmy w domu błoto i śmieci z zawalonego pieca i części komina. Podstawa, wykonana z surowej cegły, została naruszona przez wodę. Jednakże w tym nieszczęściu znalazł się szczęśliwy traf; wszystkie żółte karaluchy utonęły. Nigdy nie wiedziałam, skąd się wzięły. Rozmnażały się szybko, żyjąc w szczelinach pomiędzy ciepłymi cegłami.

Suszenie i sprzątanie domu wymagało czasu. To był trudny okres dla nas wszystkich. Dzieci nie miały gdzie się podziać w ciągu dnia. Józef i Jan eksplorowali sowchoz i spotykali się z polskimi dziećmi. Zdzisław pozostawał blisko babci. Znowu musiałam robić cegły. Gotowanie na kuchence primus[1] w pokoju Irańczyków było bardzo niewygodne. Kiedy woda zalała ulicę, nie można było znaleźć miejsca, w którym była nasza studnia. Nawet gdy woda bardzo powoli opadała, pozostawały po niej kałuże i błoto, a studnia była pełna wody.

Potem zdarzył się wypadek. Czyjaś zabłąkana krowa wpadła do studni. W tym czasie Jan był w pobliżu i obserwował ludzi ratujących stworzenie. Matka była zajęta sprzątaniem domu. Zawołała Jana, żeby wysłać go z jakąś sprawą. Chłopiec przeskakując kałużę, wylądował na ostrym kiju, który wbił się głęboko od kostki w ciało.

Przez około dwa tygodnie odczuwał ból. Ledwo mógł się poruszać. Matka zastosowała „stary sposób" leczenia ziołowego i uratowała nogę mojego syna. Przez całe lato kulał. Pod koniec maja wróciliśmy do domu. Stary Irańczyk znów zrobił piec. Maria na stałe pozostała z ludźmi w stodole.

[1] Rodzaj przenośnego palnika na paliwo płynne.

Mama skopała kawałek ziemi przed domem na ogródek warzywny. Chłopcy zebrali gałązki w lesie, a Jan zrobił płot. Matka nosiła wiadrami obornik ze stajni, przygotowując grządki do siewu nasion, które dostała od Rosjanek.

Zima odeszła. Spacerując po okolicy mogłam dostrzec zmiany w stepie.

Najpierw z czerwonych i złotych kwiatów powstał dywan. Później zmieniło się to na wszystkie odcienie bzu, fioletu i malwy. Trawa też zakwitła. Jej wspaniałe upierzenie, kołyszące się na wietrze, przypominało srebrne fale oceanu. Kiedy wracałam z późnej zmiany, widziałam zachód słońca. To był piękny widok. Wtedy zawsze zastanawiałam się – dlaczego tutaj? Dlaczego w tej zakazanej krainie niebo jest tak wspaniałe? Cała tęcza żywych kolorów stopniowo przechodziła w blade, delikatne odcienie namalowane na chmurach.

W tym kraju lato następuje po zimie z bardzo krótkim okresem wiosny. Cztery miesiące na uprawę, dojrzewanie i zbiory. Nasiona wykiełkowały i szybko rosły. Gleba była bogata. Dzieci zbierały w lesie liście dzikiego szczawiu. Później pojawiły się poziomki, a pod koniec lata grzyby.

Lasy mogą oferować obfite dary, jednak za odpowiednią cenę. Roiło się w nich od małych much i komarów. Gryzły i wysysały krew. Nie sposób było się przed nimi uchronić. Wdzierały się też do domu. Aby je wypędzić, spalaliśmy przy otwartych drzwiach suche krowie łajno. Dym odstraszał komary, ale ostry zapach pozostawał.

17 czerwca Józef obchodził czternaste urodziny. To był dzień jak każdy inny. Pracował w polu.

Kilka dni później zachorował. Miał temperaturę. Położyłam go do łóżka i zawiadomiłam Różę. Nie potrafiła zdiagnozować jego choroby. W jej gabinecie przepisano tylko tabletki z kamforą. Poinformowała jednak personel, że Józef jest chory.

Następnego dnia chłopiec wstał mówiąc, że czuje się lepiej. Jednak pod koniec dnia znów nie czuł się dobrze. Kilka kolejnych dni leżenia w łóżku nie przyniosło żadnej poprawy. Był ospały, apatyczny, słaby i milczący – leżał z zamkniętymi oczami.

Postanowiłam zabrać go do lekarza w Presnówce. Pojechałam po woły i Kazacha, który nas tam zawiózł. Lekarz zbadał Józefa i przepisał mu jakieś tabletki. Chłopiec leżał w łóżku jeszcze

kilka dni i wyzdrowiał. Często zastanawiam się, co mu dolegało. Od czasu tej tajemniczej choroby już nigdy więcej w Rosji nie chorował.

Jan i Józef z dużą ochotą zwiedzali gospodarstwo. W pierwszym semestrze Jan uczęszczał do szkoły, a Józef dorywczo pracował. Polki lubiły Józefa za to, że był miły i pomocny. Szybko nauczył się języka. Będąc ciekawym świata i dobrym obserwatorem, rozumiał jak w gospodarstwie działa system. Dzięki temu był bardzo pożyteczny i zyskał wielu przyjaciół.

W naszym sklepie można było kupić tylko naftę i zapałki. Sól wydobywaliśmy z jeziora za darmo. W sklepie brakowało wielu artykułów codziennego użytku. Część z nich była niekompletna. Kupiłam małą lampkę naftową bez knota i zrobiłem taką, jaką miała moja mama.

Trawa szybko rosła i przyszedł czas na sianokosy. Od wczesnego rana kombajny wyjeżdżały daleko w step, aby skosić trawę. Za nimi podążały ciężarówki załadowane kobietami. Mnie też wysłano. Dotarliśmy na środek otwartej przestrzeni bez ani jednego drzewa i krzewu. Stał tam namiot z beczką wody w środku. Mężczyźni podali nam grabie. Wyjaśnili nam na czym polegać ma praca. Musieliśmy obracać trawę leżącą długimi pokosami, by ją osuszyć.

Ranek był bardzo gorący. Przed południem upał stał się nie do zniesienia. Z czystego nieba słońce zionęło ogniem. Wzrok mi się zamglił. Rozbolała mnie głowa. Mimo mokrej chustki na głowie nie mogłam znieść palącego słońca. Zakręciło mi się w głowie. Pozwolono mi wejść do namiotu, gdzie do końca dnia leżałem z potwornym bólem głowy. Popracowałam jeszcze kilka dni i wróciłem na farmę i dla odmiany otynkowałem ściany w szopie.

Podczas mojej nieobecności siedemnastoletnia córka stolarza została zabita przez Ahmeda, młodego Irańczyka. Nie pamiętam jej imienia, ale była uczennicą ostatniej, dziesiątej klasy. Planowała studiować na uniwersytecie, więc wyznanie miłosne Ahmeda nie zrobiło na niej wrażenia. Jej odmowa bycia jego dziewczyną doprowadziła go do szaleństwa. Czekał na dziewczynę na drodze za farmą. Tam ją dźgnął. Ten okropny czyn sprowadził go na ziemię. Pełen skruchy poddał się bez walki.

Po powrocie na farmę udałam się na cmentarz. Znajdował się daleko w stepie. Jej ostateczne miejsce spoczynku znajdowało się

w cieniu kilku brzóz, na polanie, którą step stopniowo zajmował. Nie było tam żadnych krzyży, żadnych pomników, żadnego muru ani imion. Na niektórych grobach do niskiego drewnianego słupka przymocowano gwiazdę lub godło Związku Radzieckiego. Mały grób dziewczynki oznaczono należącą do niej odznaką Komsomołu[2]. Położyłam na nim kwiaty, które zerwałam na stepie.

Cmentarz wyglądał na zagubiony w przestrzeni. Ten smutny widok skłonił mnie do zastanowienia się nad kruchością życia, zwłaszcza życia bez Boga. W tym kraju stworzyli nowych bogów, gloryfikując swoich przywódców politycznych wraz z ich ojcem chrzestnym, panem życia i śmierci, Stalinem. To on miał nieograniczoną władzę zabijania, dręczenia i niszczenia całych narodów. Na jego rozkaz ludziom wmawiano, że żyją wolni w najszczęśliwszym kraju.

Było późno. Wróciłam do domu i patrzyłam, jak słońce powoli znika za horyzontem. Wspaniałe pożegnanie jaśniało na niebie. Obfitość fioletowych kwiatów i bogactwo zielonych traw można było zobaczyć w ostatnich chwilach, zanim ciemność nocy pokryła niebo i step.

SĄSIEDZI

Rodziny Czapskich i Wołyńców nabyły sąsiadujący z nami jednoizbowy bliźniak, opuszczony przez Rosjan wyjeżdżających z gospodarstwa. Znałam dobrze rodzinę Czapskich. Poznałam też Wołodię. Pani Wołodia mieszkała ze starszym synem. Już pierwszego dnia naszego przybycia do gospodarstwa jej młodszy syn bezpiecznie uciekł do Polski. Mieszkając w pobliżu, mogliśmy się lepiej poznać. Panna Józefa, najstarsza siostra Czapskich, wciąż pracowała jako dojarka. Była wysoką, starą panną w średnim wieku, o silnych zasadach i była też dobrą pracownicą.

Wiosna przyszła, gdy tylko zniknął śnieg. Step znów się zazielenił. Pasterze przeprowadzili stada krów na letnie pastwisko w gospodarstwie N3. Panna Józefa wyjechała ze wszystkimi ludźmi pracującymi przez cały sezon przy bydle.

W prawej części naszego domu do 1942 roku właściciele zmieniali się czterokrotnie, a potem pomieszczenia były niezamieszkałe. My mieszkaliśmy w lewej jego części i przez cały ten czas

[2] Skrót utworzony od słów Kommunisticzeskij Sojuz Mołodioży (Коммунистический союз молодёжи), czyli Komunistyczny Związek Młodzieży.

pierwotny właściciel również tam mieszkał. Z ich części mieliśmy inwazję pluskiew. Do końca pobytu toczyliśmy z nimi beznadziejną walkę. Nieustannie zabijaliśmy szkodniki i naprawialiśmy ściankę działową.

Mój sąsiad nie zrobił nic, aby wyplenić pluskwy. Nie było na to sposobu. Aby chronić się w nocy, na środku pomieszczenia zbudowali wyspę otoczoną fosą wypełnioną wodą. Spali na swojej wyspie. Owady nie dały się pokonać. Wpełzały na sufit i stamtąd spadały na ofiary.

Pewnego lipcowego poranka usłyszeliśmy w radiu wiadomość, która sprawiła, że moje serce zabiło szybciej. Od czerwca Niemcy były w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim. Wszystkich zdolnych do pracy mężczyzn z gospodarstwa powoływano do Armii Czerwonej, pozostawiając jako siłę roboczą starców i młodzież.

Nowy agronom zaczął gorączkowo zbierać zimową karmę dla zwierząt. Wprowadzono dłuższe godziny pracy w dni powszednie i obowiązkową pracę w niedziele bez wynagrodzenia, w ramach „dobrowolnej składki" na rzecz kraju.

Kopano głębokie doły, w których gromadzono zapasy żywności na zimę. Wypełniono je sadzonkami słonecznika, zielonymi gałęziami i odpadami warzywnymi. Ciężarówki przywoziły pracowników z pól. Kobiety przeładowywały ciężkie ładunki, niosąc je do dołów, na widłach.

Po całym dniu pracy wracałam do domu całkowicie wyczerpana. Nogi bolały mnie niemiłosiernie. To było drugie lato i chodziłam boso, żeby oszczędzić buty. Podeszwy nadal dotkliwie mnie bolały.

Gromadzono różnego rodzaju paszę, aby wystarczyła do wykiełkowania nowej trawy. Wtedy młody agronom również dołączył do Armii Czerwonej.

Rosjanie zaczęli uciekać przed nacierającymi Niemcami. Najpierw zobaczyliśmy Niemców, którzy otrzymali obywatelstwo rosyjskie i mieszkali w zamkniętej społeczności nad Wołgą. Podróżowali w dużych grupach niczym małe pustynne karawany.

Jedna z takich grup przechodziła przez nasze gospodarstwo. Ich wozy były mocne, a konie dobrze utrzymane. Ludzie wyglądali zdrowo i byli dobrze ubrani. Mieli wozy wyładowane kuframi, workami mąki, ziemniaków, warzyw i beczek z tłuszczem i mięsem. Krowy szły przywiązane do nich od tyłu. Niemcy zmuszeni

byli do opuszczenia swoich zamożnych wiosek z obawy przed oskarżeniem o kolaborację z siłami niemieckimi.

Zaskoczyło mnie, że tylko kilku mężczyzn mówiło po rosyjsku. Byli to ci, którzy pełnili jakąś funkcję w administrowaniu swoją społecznością. Wszystkie kobiety i dzieci mówiły wyłącznie po niemiecku. Ich społeczność posiadała szeroką autonomię i szkoły niemieckie. Na kilka dni zatrzymali się w obozie, a potem pojechali dalej, aby osiedlić się w jakimś kołchozie.

Od początku nasłuchiwaliśmy wszelkich wieści z frontu. Dowiedzieliśmy się o porozumieniu Rządu RP na Uchodźstwie ze Związkiem Radzieckim w sprawie amnestii dla wszystkich polskich mężczyzn przebywających w obozach jenieckich oraz dla deportowanych rodzin. Mieliśmy nadzieję, że odtąd zaistnieje lepsza przyszłość dla nas i dla Polski.

W Kujbyszewie utworzono Ambasadę RP. Nadzieja na uwolnienie naszych rodaków ziściła się.

Pewnego dnia usłyszałam wiadomość o przybyciu do gospodarstwa więźnia z obozu mojego męża. Od tamtej pory codziennie czekałam na powrót męża.

Z końcem lata 1941 roku nadszedł czas żniw. Zaniedbane kombajny wymagały naprawy. Stały bezczynnie przed warsztatem. Brakowało części zamiennych do naprawy. Z tego powodu pszenicę ścięliśmy kosiarkami mechanicznymi i wiązaliśmy ją w snopy, zostawiając na polu gotową do młócenia. Do młócenia używano dwóch par wołów zaprzężonych w duże koło. Koło się obracało, a woły chodziły w kółko po kłosach pszenicy, młócąc je. Robotnicy usuwali wymłócone warstwy i zamiatali ziarno, formując wznoszący się stos. Inni zgarniali łopatami rosnące masy ziarna w długie wały, aby przyspieszyć proces suszenia.

W południe robotnicy i woły mieli krótki odpoczynek. Woły, zaprzęgnięte przez cały dzień do koła, stąpały po własnym brudzie, mieszając go z pszenicą. Widok ten był odrażający, a myśl o chlebie z zanieczyszczonej pszenicy nie była przyjemna. Przez kilka dni jeździłam z grupą kobiet, żeby przewracać ziarno, aż wyschnie. Potem pszenicę wsypywano do worków i zawożono do stodoły, gdzie była ważona, a następnie dostarczono ją do rządowych magazynów w Pietropawłowsku. Pozostałą część pszenicy ładowano luzem na ciężarówki i przesypywano do wspólnej stodoły, układając stosy na użytek własny.

Lato prawie się skończyło. Słońce wciąż było ciepłe i przyjazne. Długie, gorące dni, które zamieniły step w dywan, niszczyły to arcydzieło. Step stracił swoje barwy, zmieniając się w szarawą, ponurą przestrzeń.

Dni spędzane na polach z dala od domu pozostawiały niewiele czasu na prace domowe i opiekę nad dziećmi. Czasem nie pozostawiały go wcale. Tę pracę wykonała moja mama. Była kobietą pomysłową, praktyczną i pracowitą. Wniosła ogromną pomoc. Nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy bez niej przetrwać w sposób jaki to uczyniliśmy.

Pewnej nocy obudziłem się z silnym bólem zęba. Było tak silny, że musiałam iść do dentysty w Presnówce. Do miasta było szesnaście kilometrów. Kiedy rano chodziłam tam na targ, zdążałam wrócić przed wieczorem. Tym razem jednak musiałam zostać w Presnówce do wieczora. Przed gabinetem stomatologicznym ustawiała się długa kolejka pacjentów.

W południe zjadłam posiłek w lokalnej restauracji. W menu była tylko zupa „lapsza" z makaronu i ziemniaków. Talerz zupy, wypełniony po brzegi z kilkoma plamkami oleju pływającymi po powierzchni, był sycący i niedrogi. Z miłym zaskoczeniem dowiedziałam się, że dentystką była starsza pani pochodząca z Baranowicz.

W gabinecie nie było sprzętu. Pokój był pusty, z jednym zwykłym krzesłem i kilkoma instrumentami na stołach. Drobna, nerwowa kobieta modliła się przed usunięciem mojego zęba mądrości. Jednym szybkim, mocnym pociągnięciem włożyła mi ząb w szczypce; następnie zaaplikowała do ubytku wódkę. Żadnych środków przeciwbólowych.

Było późno i ciemno. W poczekalni rozmawiałam z Polką, wyrażając swoje obawy dotyczące nocy. Opowiedziała mi o miejscu, w którym Polki mogły przenocować za jednego rubla. Jechała tam i zabrała też mnie.

Właścicielka domu wpuściła nas do pokoju z jednym łóżkiem. Pokazała nam podłogę, na której leżały już dwie kobiety. Zapłaciliśmy jej należność i pomimo twardości podłogi wkrótce zasnęłam. W nocy obudził mnie hałas w pokoju. Dochodził z łóżka. To było namiętne kochanie się. Mąż wrócił do domu z późnej zmiany i wypełniał swój obowiązek małżeński. Zakryłam głowę szalikiem i zasnęłam.

Wracając rano do domu, myślałam o życiu Rosjan. We własnym kraju walczyli o kawałek chleba. Dla zarobienia kilku rubli pozbywali się prywatności, nie mieli też prawdziwego domu rodzinnego. Karmiono ich propagandą zabijającą wszelkie aspiracje. Większość z nich żyła poniżej granicy ubóstwa. Byli odizolowani od świata. Nie mieli pojęcia, że istnieje inny sposób życia. Wszelkie przywileje i wygodne życie należały do członków partii. Komuniści w partii stali się najwyższą klasą społeczeństwa.

NADCHODZĄ MĘŻCZYŹNI

Kiedy mąż pani Wołyniec opuścił łagier na Syberii, Polki zaczęły składać im wizyty, aby dowiedzieć się, czy nie spotkał czasem kogoś z ich rodziny. Niestety, nie spotkał nikogo, o kogo pytano. Jednak opisywany przez niego obraz życia i pracy w obozach na Północy sprawił, że wszyscy jeszcze bardziej niepokoili się o dobro swoich najbliższych.

Przyjazd pana Wołyńca uświadomił mi, że lada dzień, lada wieczór mój mąż powróci także. Dni mijały w oczekiwaniu. Zima stawała się coraz sroższa. Przygotowałam dla niego ubranie i buty. By uzyskać pieniądze na jedzenie, sprzedałam już prawie cały swój majątek w tym dwa najlepsze garnitury męża. To, co zostało z garderoby męża, musiało mu na razie wystarczyć. Podczas ostatniej zimy nosiłam jego strój myśliwski. Na szczęście miałam jego długie buty wyłożone filcem, spodnie i krótki kożuch.

Zastanawiałam się, co stało się z bagażem Witolda, który przechowywałam w moim domu w Polsce. Żałowałam, że nie wzięłam kilku jego zimowych ubrań. Byłyby tutaj mile widziane.

Tuż za gospodarstwem znajdowało się pole pełne buraków dla bydła. Jak to zwykle w gospodarstwie, nie wykonywano należycie żadnej pracy do samego końca. Teraz, przy zmniejszonej sile roboczej, nie udało się wykopać wszystkich buraków na czas. Wiele z nich pozostawiono do wczesnych przymrozków. Powiedziano nam, że każdy może je sobie wykopać bezpłatnie.

Moja matka zorganizowała na to pole ,,napad", zabierając ze sobą chłopców. Wrócili, każdy niosąc garść buraków. Jan i Zdzisław zaczęli codziennie jeździć z własnoręcznie wykonanymi saniami i siekierą, którą rozdrabniali ziemię zmarzniętą wokół korzeni. Mama je gotowała, następnie odcedzała i rozgniatała

korzenie przez kawałek bawełnianej szmatki, pozostawiając rozgnieciony miąższ do nadziewania pasztecików. Płyn gotowała dłużej, aż zamienił się w syrop, który był doskonałym zamiennikiem cukru. Używaliśmy go do smarowania kromek chleba.

W styczniu 1942 roku mieliśmy obfite opady śniegu i silny wiatr. Pewnego dnia, o zmierzchu, ktoś zapukał do naszych drzwi. Niechętnie poszłam otworzyć. Stał tam mężczyzna. Silny podmuch wiatru wwiał do pokoju wiadro śniegu. Szybko chwyciłam mężczyznę za rękę i wciągnęłam go do środka, po czym zamknęłam drzwi.

W półmroku przypatrywałam się chudemu, zgarbionemu nieznajomemu, ubranemu w podarty więzienny płaszcz, ze stopami owiniętymi w dywaniki, umieszczone na kawałkach starej opony podwiązanej kawałkiem sznurka. Jego rosyjski kapelusz zasłaniał zapadniętą, nieogoloną twarz, pozostawiając płonące oczy osadzone głęboko w oczodołach.

Zapytałam go: „Kim jesteś? Czego szukasz?". Nieznajomy patrzył na nas bez słowa. Ciszę przerwała mama: „To jest Józef!" – zawołała. To był mój mąż.

Dzieci podeszły do niego nieśmiało. Emocje ogarnęły nas wszystkich. Wzięliśmy go w objęcia, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Matka pierwsza otrząsnęła się z szoku związanego z rozpoznaniem go i ponownym spotkaniem. Przejęła inicjatywę. Zapytała, czy ma wszy. „Tak, chyba mam trochę. W pociągach było ich pełno" – powiedział.

Przygotowałam czystą bieliznę i ubranie, postawiłam na kuchence duży garnek z wodą. Wkrótce woda była gorąca, więc pomogłam mężowi się umyć.

Matka wyrzuciła jego ubranie na śnieg. Wkrótce mogliśmy zobaczyć rój wszy uciekających przed zimnem i wypełzających z odzieży. Mróz je zabił. Zostawiliśmy ubrania na noc, żeby mieć pewność, że wszystkie nie żyją. Następnego dnia wygotowaliśmy bieliznę, aby zabić jaja.

Kiedy mama przygotowywała kolację, mąż nieśmiało zapytał: „Czy mogę dostać trochę tego?". Wskazywał na zimne, rozgniecione buraki. Jadł w pośpiechu, jak to robią głodni ludzie. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, jak bardzo był głodny.

Był bardzo zmęczony. Po kolacji pościeliłem mu łóżko. Przed położeniem się do łóżka uklęknął i pomodlił się. Obserwowałem go. Nigdy wcześniej nie widziałam męża modlącego się.

Rano poszedł do gabinetu dyrektora, żeby zgłosić swój przyjazd. Dyrektor był bardzo uprzejmy. Życzył mężowi szybkiego powrotu do zdrowia i poprosił go, aby wrócił za tydzień, żeby porozmawiać o pracy.

Odpoczynek, jedzenie i opieka rodziny pomogły mojemu mężowi odzyskać siły fizyczne i spokój ducha. Dopiero wtedy opowiedział o swoich przeżyciach. Oto, co nam powiedział:

,,Po Bożym Narodzeniu 1939 zostałem wywieziony z więzienia w Baranowiczach do Związku Radzieckiego. Bydlęce wagony wypełnione były polskimi jeńcami po brzegi. W Rosji przeładowali nas w Orszy. Spędziłem w tamtejszym więzieniu trzy miesiące. Stamtąd wysłali nas na północ europejskiej Rosji. To była długa podróż. Brakowało wody pitnej. Wszyscy cierpieliśmy z pragnienia. Karmili nas skażoną żywnością. W wyniku tego więźniowie chorowali na czerwonkę. Zanim pociąg dotarł do Kotłasu, choroba rozprzestrzeniła się, wywołując epidemię.

W Kotłasie na głównym peronie czekała grupa żołnierzy wraz z lekarzem. Każdy chory na dowód swej choroby musiał kucać i oddawać ekskrementy. Segregacja więźniów opierała się na uzyskanych wynikach. Zdrowych wysłano daleko na Północ, poważnie chorych przewożono do szpitala w Kotłasie, a lżej chorych załadowano do pociągu jadącego do Republiki Komi na północy.

Właśnie miałem początek choroby. Żeby sprawić wrażenie pół inwalidy, odważnie przykucnąłem, szybko ściągnąłem spodnie, gdy ostry głos kazał mi wstać. ,,Dość! Następny!". Dołączyłem do grupy mężczyzn wsiadających do bydlęcych wagonów. Wyruszyliśmy dalej na północ i zatrzymaliśmy się na stacji w kraju Komi, niedaleko rzeki na północ od Dwiny. Zaprowadzili nas do obozu jenieckiego znajdującego się na polanie położonej pośród ponadczasowych, ogromnych lasów.

Obóz ogrodzony był drutem kolczastym. Jednej bramy strzegło dwóch uzbrojonych wartowników. Wewnątrz znajdowały się baraki dla więźniów, domy wartowników, kuchnia, magazyny, szpital z lekarzem polskiego pochodzenia będącym obywatelem sowieckim oraz biuro N.K.W.D. Wczesnym rankiem otrzymaliśmy siekiery, piły do drewna i kawałek mrożonego chleba na obiad. Pod uzbrojoną eskortą poszliśmy dużą grupą do lasu, aby pracować jako drwale. W południe odpoczywaliśmy przy ognisku, podgrzewając nad nim chleb na patyku.

Praca na ostrym mrozie i śniegu sięgającym po kolana była bardzo ciężka. Co więcej, tylko nieliczni z nas umieli posługiwać się siekierą lub piłą do drewna. Obowiązywała dzienna norma określająca liczbę drzew, które należało wyciąć i pociąć na drewno o określonych wymiarach. Następnie układano je w sześcienne bloki.

W zależności od wyników pracy robotnicy otrzymywali żywność pierwszej lub drugiej kategorii. Trzecia klasa przeznaczona była dla osób chorych, którym lekarz przepisał specjalną dietę. Byłem zbyt słaby, aby wyrabiać normę; skromne jedzenie drugiej kategorii nie dodało nam sił. Poza tym nadal miałam biegunkę.

Poprosiłem o pozwolenie na wizytę u lekarza. Był niezwykłym człowiekiem. W miarę możliwości, pomagał wielu polskim więźniom, a także rosyjskim przestępcom.

Dzięki zaświadczeniu lekarskiemu zostałem przeniesiony do mniej wyczerpującej pracy, a mianowicie do noszenia chleba w workach z głównej jednostki zaopatrzenia za rzeką.

Zimą łatwo było przeprawić się przez rzekę, ponieważ była pokryta grubą warstwą lodu. Nie było mostu. Wiosną ze związanych długich, drewnianych belek, zbudowano prymitywny, wąski trap. Kiedyś omal się nie utopiłem. Niosłem na plecach ciężki worek. Nagle poślizgnąłem się i straciłem równowagę. Wpadłam jak kamień do lodowatej wody. Trzymając się trapu, udało mi się położyć chleb na suchym drewnie.

Zacząłem poruszać się w wodzie po pas, ciągnąc worek po trapie. Przemoknięty i zmarznięty wróciłem bezpiecznie z chlebem do obozu.

Życie i klimat były trudne do zniesienia. Jednak towarzystwo rosyjskich przestępców było do zniesienia jeszcze gorsze. Byli brutalni, kradli wszystko, co wpadło im w ręce. Co więcej, bez najmniejszego powodu wywoływali bójki. Przebywanie w pobliżu miejsca takiego zdarzenia było niebezpieczne.

Spaliśmy w ubraniach żeby się ogrzać. Każdy z nas swój skromny dobytek trzymał zawinięty w tobołek, stale nosząc go przy sobie i śpiąc na nim w nocy. Z drewna wyciętego przez Polaków zbudowano po kilku miesiącach nowy barak. Najpierw do nowego miejsca zakwaterowania przeniesiono część Polaków. Następnie dokwaterowano do nich kilku przestępców.

Wigilię 1940 roku świętowaliśmy w nowym baraku. Pewien człowiek zbierał po barakach od wszystkich polskich więźniów

małe kawałki chleba. Upiekł z nich maleńki, płaski placek przypominający opłatek. Na centralnej ławce ustawiliśmy małą jodłę, ściętą potajemnie w lesie i przyniesioną do obozu, ukrytą pod płaszczem więźnia. Kiedy pojawiła się pierwsza gwiazda, zebraliśmy się wokół choinki. Zaczęliśmy od modlitwy, a następnie podzieliliśmy się opłatkiem, przełamując go z myślą o naszych bliskich, którzy byli daleko.

Kiedy minęły już pierwsze chwile wzruszeń, zaczęliśmy śpiewać kolędy. Strażnik usłyszawszy śpiew, wszedł do baraku. Zatrzymał się przy drzwiach i zdjął kapelusz. Na ten widok rosyjscy jeńcy również pozdejmowali czapki. Zakończyliśmy chwilą cichej modlitwy, po czym uroczyście rozstaliśmy się, udając się na swoje ławki.

W 1941 roku ogłoszono amnestię. Jednak grupa Polaków, w tym ja i Gustaw Żeromski, zamiast na wolność, została wysłana daleko na południe do Uzbekistanu, w pobliże rzeki Syr-darii, aby pomóc przy zbiorach bawełny. Obiecali zapłacić nam trochę pieniędzy po żniwach. Niestety, wieś była mała i biedna. Wszystkich zdolnych mężczyzn wzięto do Armii Czerwonej. Uzbecy byli tak biedni, że ledwie starczało im jedzenia dla siebie.

Kiedy skończyliśmy i otrzymaliśmy skromną pensję, postanowiliśmy z Gustawem rzucić pracę i dołączyć do naszych rodzin. Adres do was znałem od mojej bratowej Janiny. Dzięki zarobionym pieniądzom i tym uzyskanym ze sprzedaży kilku naszych skarbów − koszuli, spodni i butów − mieliśmy dość pieniędzy, aby kupić bilety na główną część naszej podróży. Resztę drogi przemierzaliśmy, ukrywając się w pociągach. Najgorszy był głód. Szczęśliwym trafem złapałem podwózkę z Pietuchowa. Pomimo wszystkich trudności, jestem tutaj. To naprawdę cud".

Mąż został z nami tylko sześć tygodni. W tym czasie miał dwie prace. Eskortował konwoje dostarczające mięso i kukurydzę do Pietropawłowska. Podróż była długa, ponieważ podróżowali konno i saniami. Musieli zatrzymać się na noc w kołchozie i już pierwszej nocy mąż przyłapał kierowcę na odcinaniu dużego kawałka mięsa z beczki. Mężczyzna obiecał współpracować w dopilnowaniu, by nikt nic nie kradł. Mąż nigdy nie doniósł na kierowcę.

Wiozący kukurydzę i proso, woźnice celowo wywracali sanie, tak aby z otwartych worków wysypywała się na śnieg ich

zawartość. Następnie, by uzyskać odpowiednią wagę ładunku, zbierali ziarno zmieszane z dużą ilością śniegu.

W magazynach rządowych sprawdzano wagę i wysypywano kukurydzę na stosy. Wiosną topniejący na dnie śnieg spowodował kiełkowanie ziarna. Stanowiło to przyczynę katastrofalnych strat.

Za kradzież groziły surowe kary. Nie odstraszyło to jednak części osób od przestępczości, gdyż bez dokonywania kradzieży ludzie w Związku Radzieckim nie przetrwaliby. Ludzie nie uważali kradzieży za grzech, ponieważ kraj i wszystko, co się w nim znajduje, należało do obywateli.

Jesienią ubiegłego roku pani Wojniłłowicz doświadczyła surowej kary za kradzież. Na polu, niedaleko gospodarstwa, zbierałyśmy ziemniaki. Wrzuciła do własnego koszyka z kanapkami kilka ziemniaków. Brygadier zauważył. Natychmiast ją zabrał. Miała proces i została skazana na trzy miesiące więzienia. Miała troje dzieci. Przyjaciele pomogli im poradzić sobie bez matki.

Wojna z Niemcami spowodowała wielkie zmiany w Związku Radzieckim, zwłaszcza w stosunku do skazanych Polaków. Generał Anders został zwolniony z więzienia. Otrzymał pozwolenie na zorganizowanie Wojska Polskiego do walki z Niemcami.

Wielu Polaków opuściło obozy jenieckie i wstąpiło do wojska. Na apel generała Andersa odpowiedzieli także Polscy osiadli w różnych częściach Związku Radzieckiego.

Mój mąż pojechał do punktu rejestracyjnego w Ługowoje[3]. Stamtąd wraz z wieloma mężczyznami udał się do obozu wojskowego w Buzułuku[4]. Od tego momentu jego życie było ściśle powiązane z wojskiem.

W naszym sowchozie nikt nie wiedział, że wszyscy razem możemy pojechać na południe.

Młodzież zgłaszająca się do wojska została objęta opieką Armii i szczególnym patronatem gen. Andersa. W Egipcie i Izraelu zorganizowano dla niej wiele szkół, gimnazjów i uniwersytetów, w których mogła kształcić się i doskonalić konkretne umiejętności. Istniały szkoły dla mechaników, lotników, marynarzy, telegrafistów, kadetów i techników. Przez dwa lata Józef uczęszczał

[3] Ługowoje (Stacja Ługowaja) – Północny Kazachstan, miejsce stacjonowania 10. Dywizji Piechoty Armii Polskiej w ZSRR w 1942 r.

[4] Miejsce stacjonowania Sztabu Armii Polskiej na Wschodzie.

do szkoły radiooperatorów. W wieku szesnastu lat został żołnierzem i służył jako radiooperator na froncie we Włoszech.

Życie Polaków w gospodarstwach rolnych stało się w 1941 roku cięższe. Sprzedawano wszystko, co dało się sprzedać. Starzy ludzie stali się ciężarem. Najbiedniejsza ze wszystkich była rodzina Pławsiuk. Ona była żoną woźnego z naszej szkoły, zamordowanego przez Niemców w 1939 roku. Miała trójkę małych dzieci. Jej zarobki w gospodarstwie nie wystarczały na utrzymanie czteroosobowej rodziny. Latem jej dwunastoletni syn zarabiał, wróżąc z kart. Kobiety, które niepokoiły się o swoich mężów, walczących z Niemcami, słuchały chłopca. Za nadzieję, którą im dawał płaciły jedzeniem. Przynosił więc do domu chleb, kawałek tłuszczu lub mięsa dla rodziny. Przynajmniej lato było ciepłe, ale co się stanie, gdy nadejdzie zima?

Zima 1942 roku była równie zła jak poprzednia; mrozy, śnieżyce i choroby utrudniały życie. Nie było nic na wymianę za mleko. Z serwetek i starych prześcieradeł zaczęłam szyć małe sukienki dla niemowląt. Chłopcom rozdawali mleko. Cieszyłam się, cierpliwie stojąc w kolejce w Baranowiczach po igły, czarno-białą bawełnę do szycia i kolorowe nici do haftu. Wieczorami spędzałam długie godziny, siedząc przy naszej „lampie", szyjąc i ozdabiając haftem te drobne ubranka.

Jan zachorował na odrę i Róża podała mu tabletkę kamfory na obniżenie temperatury. Zapewniła nas, że chłopiec wyzdrowieje dzięki własnemu układowi odpornościowemu. Aby uniknąć powikłań, musieliśmy cały czas pilnować, żeby było mu ciepło. Kiedy Jan poczuł się już lepiej, zachorował Zdzisław. Wieczorami siedziałam przy ich łóżkach i przykrywałam chłopców kocami, bo ciągle je ściągali. Obaj wyzdrowieli. Miałam szczęście, że ich nie straciłam. Kilkoro polskich dzieci zmarło podczas epidemii odry.

Pierwszego dnia po naszym przyjeździe do gospodarstwa chleb był biały, miękki, dobrze wypieczony, o doskonałej konsystencji i smaku. Przypominał polski „kołacz", rodzaj mlecznego chleba spożywanego na wiejskich weselach. W sklepie każdy mógł go kupić tyle, ile chciał. Po kilku dniach ograniczono prawo ludzi do zakupu bochenka chleba. Tylko ludzie pracujący mogli kupować kilogram chleba dziennie. Chleb zaczął zmieniać wygląd i rozmiar. Stał się ciemniejszy, cięższy, przez co skurczył się, mimo że jego waga pozostała taka sama. W 1942 roku chleb był

bardzo ciemny i miał fakturę cegły. Mały kawałek zrobiony był z czegoś przypominającego glinę i był twardy jak skała.

Na spotkaniu w klubie powiedziano, że wszyscy pracownicy mogą wykorzystać część danego pola pod sadzenie ziemniaków. Dyrektor gorąco opowiadał się za ogrodnictwem. Z powodu wojny panowały trudności. Zapasy były ograniczone, dlatego robotnikom w gospodarstwie stworzono możliwość zapewnienia samym sobie utrzymania. Nie pamiętam, czy jakakolwiek polska rodzina skorzystała z tej możliwości. Nikt nie wierzył, że mamy pozostać na farmie na dłużej lub na stałe. Po porozumieniu pomiędzy Rządem RP na Uchodźstwie a Związkiem Radzieckim ludność polska otrzymała ochronę i pomoc za pośrednictwem polskich placówek na terenie całego Związku Radzieckiego. Nazywano je „delegaturami". Jedna z nich powstała w Pietropawłowsku.

Pod koniec kwietnia przybył do nas gość z Delegatury, który poinformował wszystkich Polaków o ich prawach. Mianowicie, o tym, że byliśmy wolnymi ludźmi, mogliśmy przenieść się na wieś, gromadzić się, tworzyć komitety, modlić się w grupach. Zorganizowaliśmy spotkania i wybraliśmy Marię na naszą przewodniczącą. Przesłała do naszej Delegatury listę Polaków mieszkających w gospodarstwie. W zamian dostarczyli żywność i trochę ubrań dla dzieci.

Zostałam wybrana do zorganizowania czegoś w rodzaju szkoły dla najmłodszych, w której zapewniony byłby posiłek i kilka zajęć w ciągu dnia. Dostałam pozwolenie na wykorzystanie wolnej części naszego domu z ławkami i stołem. Poprosiłam również o mleko z mleczarni dla dzieci. Dyrektor przychylił się do mojej prośby pod warunkiem, że dzieci będą pielić chwasty przez dwa i pół dnia w tygodniu. Zgodziłam się. Nasza przewodnicząca Maria wręczyła mi zapasy, na które składały się: puszka smalcu, trochę cukru, około kilograma białej mąki i duży bochenek chleba. Dopóki wystarczyło zapasów, dzieci jadły kromkę chleba posmarowaną smalcem i zupę mleczną z makaronem.

Dzieci były tak zróżnicowane wiekowo, że znalezienie dla nich odpowiednich zajęć stanowiło dylemat. Nie było zabawek, książek, papieru do pisania i rysowania ani ołówków. Nic. Śpiewaliśmy piosenki, uczyliśmy się wierszy, odgrywaliśmy pantomimy i graliśmy w gry. Dwa razy w tygodniu wszyscy pieliliśmy pola.

Do gospodarstwa przyjechał polski żołnierz, aby pomóc młodym ludziom wstąpić do wojska. Pojechało z nim trzech nastolatków: syn pani Dynko oraz syn i córka pani Wojniłłowicz. Do grupy młodzieży dołączyły cztery kobiety z rodziny Ćwirków i nasz Józef. W maju pani Wojniłłowcz zorganizowała śpiewanie psalmów i modlitw ku chwale Matki Najświętszej.

Przypadkiem spotkałam dojarkę Tasię. Przywitała mnie promiennym uśmiechem. Wyglądała na tak szczęśliwą. Natychmiast zaczęła mi opowiadać o niezwykłej odmianie losu w swoim życiu. Na spotkaniu w klubie pojawił się apel do Rosjanek o rodzenie dzieci. W czasie wojny był to ich obowiązek wobec kraju. Dla samotnej kobiety urodzenie dziecka z jakimkolwiek mężczyzną nie było grzechem. ,,Teraz jestem szanowaną matką, a nie potępioną dziewczyną" – powiedziała. – ,,Jego żona pogodziła się ze mną. Jest moją przyjaciółką i kocha moją dziewczynkę, bo jest córką jej męża, który zginął na wojnie z rąk Niemców". Rozstałyśmy się. Chciałam, żeby to małe dziecko przyniosło szczęście obu kobietom.

W środku lata wysłano mnie do nowego oddziału sowchozów, żeby kopać rowy pod podstawę obory. Byłam tam dwa tygodnie z kilkoma Rosjankami i dwiema Polkami. Spaliśmy na słomie rozrzuconej na podłodze i jedliśmy trochę jedzenia. Po ciężkiej pracy aż do wieczora, mogliśmy w łaźni zmyć z siebie brud i pot. Tam spotkała mnie cudowna niespodzianka: z kazachskim zaopatrzeniem przyjechał Zdzisław. Został może godzinę i wrócił z tymi ludźmi. Często widzę w myślach małego chłopca biegnącego i podskakującego, żeby mnie przywitać. Mały chłopiec, ma teraz siwe włosy i własnych dorosłych synów.

PODRÓŻ DO JANGIJUL[5]

Pod koniec lipca otrzymałam od władz polskich z Delegatury pismo z pozwoleniem na opuszczenie gospodarstwa i wyjazd do Jangijul. Ku mojemu przerażeniu okazało się, że mój dowód osobisty gdzieś zaginął. Napisałam do Delegatury, przekazując swoje polskie dokumenty. Przysłali mi nowy polski paszport, zwracając też otrzymane dokumenty. W Presnówce dostałam podpisane dokumenty i datę wyjazdu całej rodziny.

[5] Z języka uzbeckiego ,,Nowa droga". Miasto w Uzbekistanie, od 1942 roku mieścił się w nim Sztab Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa.

Rozpoczęły się przygotowania do podróży. Mama zaczęła piec i suszyć chleb. Żeby mieć pieniądze na podróż, sprzedaliśmy w gospodarstwie część dobytku. Znaleźliśmy kupca na nasz dom.

Dzieci zbierały dzikie jagody. Matka suszyła je na słońcu i w piekarniku, a następnie ze starego prześcieradła zrobiła małe torebki, w które je wkładała. W zamian za bieliznę mojego męża kupiła kurczaka. Upiekła go tuż przed naszym wyjazdem. Pod koniec sierpnia opuściliśmy gospodarstwo.

Dyrektor zezwolił nam na wóz z parą wołów i Kazachem do powożenia. Dzieci i moja mama siedziały na wozie z naszymi tobołkami. Kazach i ja szliśmy pieszo. Do Pietuchowa musieliśmy pokonać ponad osiemdziesiąt kilometrów. Trasę z Pietuchowa do folwarku przejechaliśmy ciężarówką w ciągu jednej nocy, natomiast woły ciągnęły nas przez dwa i pół dnia. Wyruszyliśmy wcześnie rano. W południe mieliśmy krótki odpoczynek.

Wieczorem dotarliśmy do kołchozu, gdzie spędziliśmy noc. Spaliśmy na podłodze w jednym pokoju z całą rodziną gospodarza. Nasz woźnica spał na zewnątrz, doglądając wołów. W pokoju było jedno łóżko. Jednak nikt na nim nie spał. Łóżko było symbolem statusu: duże białe poduszki wypchane pierzem i staromodną plecioną narzutę zdejmowano tylko po to, by położyć na nich umierających, aby mogli umrzeć z godnością.

W kącie pokoju znajdowała się ikona z małą, wiecznie płonącą lampką napełnioną oliwą. Bóg ze Związku Radzieckiego został wygnany, religia była prześladowana, a mimo to ludzie zachowali wiarę i oddawali cześć Bogu. W tamtych czasach w obliczu straszliwej wojny z Niemcami modlili się o pomoc i bezpieczeństwo jeszcze żarliwiej.

O świcie przyjechał kierowca z wiadomością, że woły wraz z uprzężą zostały skradzione. Wysłaliśmy go do Sielsowietu[6]. Alarm obudził cały kołchoz i na szczęście woły się odnalazły. Wkrótce byliśmy gotowi do drogi. Mama zapłaciła gospodarzowi za nocleg i ruszyliśmy dalej.

Kazach z kijem w ręku podążał za wołami. Czasem siadaliśmy na krawędzi wozu odpoczywając kilka kilometrów, żeby odzyskać siły do ponownego marszu. Któregoś dnia zatrzymywaliśmy się w kolejnym kołchozie. Niestety, nasz nocny sen został przerwany. Głośne pukanie zbudziło cały dom. Dwóch mężczyzn

[6] Rada wiejska.

w mundurach z Sielsowietu trzymało naszego Kazacha ze związanymi rękami. Poinformowali nas, że zabierają go na Milicję za kradzież drewna i rozpalenie ogniska na polu, co zrobił, żeby się ogrzać w zimną noc. Po długim sporze uzgodnili cenę, która miała zrekompensować stratę. Zapłaciłam dość dużą sumę rubli, po czym uwolnili naszego woźnicę.

W południe trzeciego dnia dotarliśmy do Pietuchowa. W pobliżu stacji koczował tłum ludzi. My również położyliśmy nasze tobołki na ziemi. Poszłam na stację kupić bilety. Przy okienku kasowym stał milicjant, pilnujący porządku. Kolejka była długa. Łańcuch ludzi poruszał się powoli. Po godzinie milicjant nakazał ludziom się rozejść. Tego dnia nie sprzedano już biletów.

Następnego dnia perspektywa kupienia biletów była jeszcze mniej obiecująca. Wtedy przypomniałam sobie o liście, który otrzymałem wraz z paszportem. Zawierał on radę, abyśmy zwrócili się o pomoc do Delegatur w Pietuchowie i Czelabińsku. Ich adresy podane były w załączeniu. Na szczęście delegat mieszkał niedaleko stacji. Drzwi otworzył miły starszy pan. Wysłuchawszy naszego problemu zaczął robić kanapki dla mojej rodziny. Następnie zapytał: „Czy przypadkiem nie masz męskich butów?".

„Tak, mam dobre, długie buty mojego męża" – powiedziałam. ,,Bardzo dobrze. Damy napiwek milicjantowi. Proszę zabrać buty. Zajmę się nim. Nie martw się. Jutro, jak tylko stacja zostanie otwarta, proszę podejść do tego mężczyzny i podać mu moje nazwisko. On się tobą zaopiekuje".

Następnego dnia było jeszcze ciemno, gdy ludzie zaczęli czekać przed drzwiami stacji. Kiedy drzwi zostały otwarte, weszłam i zamiast zająć miejsce w kolejce, podeszłam do milicjanta. Słysząc nazwisko delegata, popchnął mnie do okienka kasy i jako pierwsza kupiłam bilety do Jangijul. „Będzie przesiadka w Czelabińsku" – poinformował mnie kasjer. ,,Pociąg ma odjechać za godzinę" – dodał. Przenieśliśmy się na peron i wkrótce siedzieliśmy w pociągu. Rozpoczął się nasz exodus na południe. Siedząc w pociągu na twardej drewnianej ławce, nie mogłam się zrelaksować.

Dla nas był to dopiero początek nieznanego. Czy dotrzemy do Wojska Polskiego? Chcieliśmy przekroczyć granicę pod jego ochroną. Wojna wywołała w kraju chaos, zakłócając transport

i powodując migrację ludności na masową skalę. Niemcy toczyli wojnę za Uralem w Rosji, a jednak i tutaj, w Azji, skutki tej wojny były odczuwalne.

W Czelabińsku mieliśmy sporo czasu do przyjazdu naszego pociągu. Poszłam szukać Delegatury. Przekazali mi tam kilka przydatnych informacji na wypadek trudności w trakcie podróży. Poradzili nam, abyśmy podróżowali z lekkim bagażem. Dlatego rozstałam się z kilkoma ciężkimi przedmiotami, które nie były nam na razie koniecznie potrzebne. Udało mi się sprzedać je na targu. Dostałam też szczegółowy plan dojazdu na rynek i paczkę z jedzeniem. Był w niej duży bochenek chleba, trochę mleka w proszku, cukier i funt smalcu w puszce.

Razem z mamą postanowiłyśmy sprzedać dwa duże, grube kożuchy, które nosiliśmy w Polsce podczas zimowych podróży. Jan pomógł je nieść. Na targu kilka osób sprzedawało stare ubrania, zepsute narzędzia, stare kubki i talerze, skorodowane gwoździe i rzeczy nadające się tylko do kosza na śmieci. Dziwiłam się, że ludzie kupują takie śmieci. Moje płaszcze zostały szybko sprzedane za dobrą cenę. Wieczorem jechaliśmy pociągiem do Taszkentu, gdzie czekała nas przesiadka do Jangijul.

Ta część podróży była najdłuższa i trwała ponad tydzień. W Czelabińsku dołączył do nas jeden pasażer. Był to przebywający na zwolnieniu chorobowym żołnierz narodowości fińskiej. Podróżował z Syberii do swojego domu rodzinnego na południu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do Armii Czerwonej. Nie wysłano go do walki z Niemcami z obawy przed kolaboracją z wrogiem. Dlatego pełnił obowiązki wojskowe jako strażnik w obozie jenieckim na północy. W obozowej diecie brakowało witamin. W rezultacie zachorował na pelagrę[7].

Żołnierz był młodym mężczyzną o miłym, życzliwym wyrazie twarzy. Jego twarz i dłonie pokrywały czerwone obrzęki, a palce częściowo straciły chwytność. Zaczęliśmy z nim rozmawiać. Zaufał nam, dlatego zaczął opowiadać o warunkach panujących w obozie jenieckim i o tym jak traktowano więźniów. Podczas porannego posiłku zaobserwowaliśmy, że żołnierz nie miał nic do jedzenia. Mama poprosiła go, aby poczęstował się naszym śniadaniem. Żołnierz był wzruszony. Przyjął kromkę chleba ze smalcem, którą jadł powoli, niezdarnie przeżuwając w bolących

[7] Choroba spowodowana niedoborem witaminy B 3 (niacyny).

dziąsłach. Kiedy pociąg się zatrzymał, przyniósł wrzącą wodę na herbatę. Dzieliliśmy się z nim jedzeniem, a żołnierz w zamian próbował nam się odwdzięczyć, pomagając. Jego obecność była najlepszą ochroną, jaką mogliśmy mieć.

Przed Taszkentem mijaliśmy wiele miast i stacji. Pamiętam Orenburg, Aktiubińsk[8], Aralsk, Kyzyłordę. Pociąg jechał bez rozkładu jazdy. Nikt nie wiedział, jak długo pozostanie na stacji. Niebezpiecznie było wysiadać z pociągu i szukać bufetu z nadzieją na zakup jedzenia. Tak czy inaczej byłby to wysiłek zmarnowany. Tylko żołnierze Armii Czerwonej i niektórzy ludzie posiadający pozwolenie wydane przez władze, mogli kupić bochenek chleba.

Szczęśliwie dzięki mamie mieliśmy wystarczająco dużo suszonego chleba i herbaty z suszonych jagód.

Pewnej nocy o mało co stracilibyśmy nasze pakunki znajdujące się na górnej półce. Nocami złodzieje czołgali się po dachach wagonów i kradli bagaże przez okna. Pewnej nocy żołnierz złapał ich ręce chwytające nasze rzeczy. Po szamotaninie pozwolił złodziejowi uciec, nie miał sił, żeby go zatrzymać, ale uratował nasz dobytek. Za Aralskiem pociąg jechał wzdłuż rzeki Syr-daria, pośród pól obsadzonych melonami. Na każdej stacji Uzbecy sprzedawali pyszne żółte melony o niezwykłym aromacie gruszek deserowych. Przynieśliśmy kilka melonów i jedliśmy ostrożnie, żeby nie rozstroić sobie żołądków.

Krajobraz się zmieniał, podobnie jak ludzie tam mieszkający. Przypominało to paradę ras. Nadal mieli cechy Mongołów, ale byli nieco ładniejsi od Kazachów.

Jadąc coraz bardziej na południe, doceniliśmy delikatniejszy wygląd mieszkańców; kobiety były drobne i wyglądały jak lalki. Rozstaliśmy się z naszym żołnierzem przed Taszkentem. Gdy tylko pociąg ruszył, dosiadł się do nas kolejny towarzysz. Był pasażerem na gapę, który jechał ze Stalingradu, aby wstąpić do Wojska Polskiego. Młody Polak był członkiem znanej Polskiej Orkiestry Antoniego Ciukszy, która grała w radiu z Wilna[9]. Podobnie jak wielu innych Polaków został wywieziony na Syberię. Uciekł i wojna dopadła go w Stalingradzie. Przeżył tam okrutne oblężenie i upadek miasta. Następnie uciekł ponownie na wschód, bez pieniędzy i dokumentów. Przebył długą podróż, ukrywając się

[8] Inaczej Aktobe.

[9] Chodzi o powstałą w 1922 roku Orkiestrę Mandolinistów Antoniego Ciukszy.

w pociągach, spotykając Polaków, którzy dawali mu trochę jedzenia.

Dowiedział się o amnestii i o polskiej armii. Chciał wstąpić do wojska, ale było za późno. Armia opuściła już obozy i przekroczyła granicę z Iranem. W Jangijul stacjonowało kilka jednostek, więc postanowił tam pojechać. Razem wysiedliśmy z pociągu w Taszkencie, aby przesiąść się na jadący do Jangijul.

Musiałam ostemplować nasze bilety. Kasa biletowa znajdowała się w osobnym budynku po drugiej stronie placu. Wyszliśmy ze stacji i znaleźliśmy niedaleko niej miejsce na tymczasowy biwak. Z tyłu znajdował się niski murek odgradzający liczne tory kolejowe. Przed nami rozciągał się rozległy plac zatłoczony ludźmi koczującymi pod gołym niebem. Wśród kilku grup Polaków było też wielu Rosjan, Tatarów, Ukraińców i przedstawicieli innych narodowości ze wszystkich stron Rosji. Uciekali przed frontem, który przechodził przez radzieckie republiki.

Wyglądało to tak, jakby wszyscy ludzie biegali w pośpiechu, bez żadnego bagażu. Mieli jedynie kilka pakunków. Ten widok był przerażający. Wszyscy desperacko próbowali znaleźć bezpieczne miejsce do życia. Tymczasem czekali w długiej kolejce po bilet w ciągu dnia i siedzieli, półprzytomni na ziemi, mając nadzieję, że następnego dnia dotrą do kasy biletowej.

Rozmawiałam z kilkoma grupami biwakujących Polaków. Nie mieli dokąd pójść i postanowili zawrócić tam, skąd przybyli. To była godna pożałowania sytuacja. Nie mogłam przestać się martwić o nas i o to, co nas czeka w Jangijul. Dołączyłam do kolejki. Może będę miała szczęście. Niestety, byłam w połowie drogi do okienka kasowego, kiedy je zamknięto. Nie było już biletów na ten dzień.

Nadeszła noc, a wraz z ciemnością przyszedł chłód. Moja mama zasnęła. Chłopcy siedzący po moich obu stronach, położyli mi głowy na kolanach i też wkrótce zasnęli. Palący papierosa polski pasażer na gapę dołączył do naszej grupy. Poprosiłam go o jednego. Postanowiłam czuwać. Zauważyłam coś podejrzanego i widziałam cienie poruszające się wśród śpiącego tłumu. Byli to złodzieje kradnący ostatni dobytek migrującej ludności. Zapaliłam papierosa, żeby pokazać, że przynajmniej jedna osoba czuwa nad ludzkim żywym dywanem. Sama noc wydawała się groźna.

Po lewej stronie, dość daleko, znajdowała się toaleta ze świecącym niebieskim światłem nad drzwiami. Przez całą noc ludzie wchodzili i wychodzili.

Byłam zafascynowana tym światłem. Wyglądało tak tajemniczo w ciemności, jak mroczny, legendarny potwór z jednym okiem, pożerający ludzi i wypluwający ich szczątki. Niedaleko, po prawej stronie stał drewniany dom z przyćmionym światłem nad drzwiami. Przed tym domem przez całą noc zatrzymywały się ciężarówki. Dwóch mężczyzn wyładowywało nagie ciała zmarłych zebrane na ulicach Taszkentu. Prawdopodobnie umarli z głodu. W pewnym momencie usłyszałam za sobą szelest. Odwróciłam się i zobaczyłam staruszkę, która szukała czegoś na ziemi. Podniosła na wpół zgniłego pomidora i zaczęła go jeść z głośnym mlaskaniem. Zmarzłam, a ciaśniejsze otulenie się moim zniszczonym płaszczem nie pomagało.

Nareszcie nastał świt rozpoczynający dzień, jak każdy dzień następuje po nocy od początku życia na Ziemi. Zajęłam miejsce w kolejce. Dotarłam do kasowego okienka. Pokazałam bilety. Kasjer powiedział, że stoję w złej kolejce. Musiałam iść do innego budynku, aby ostemplować bilety. W drodze do właściwego biura zauważyłam młodą kobietę, która wcześniej stała za mną w kolejce. Teraz też szła za mną i ponownie stanęła za mną w nowej kolejce. Na szczęście kolejka była krótka i już po chwili urzędnik poprosił mnie o zaświadczenie potwierdzające, że przeszłam dezynfekcję. Nie miałem żadnego. Wręczył mi oficjalny formularz poświadczający, że nie mam wszy. Z tyłu hali znajdowały się drzwi do pomieszczenia dezynfekującego. Młoda kobieta dogoniła mnie: ,,Nie wchodź tam. Czy znasz procedurę? Włożą twoje ubrania do wielkiego pieca razem z ubraniami wielu innych ludzi. Na koniec możesz je stracić, ponieważ niektórzy ludzie mogą je wymienić na swoje brudne i podarte. Podpiszemy się same. Nikt nie będzie sprawdzał podpisu". Miała długopis i podpisała oba certyfikaty. W ostatniej chwili weszliśmy do biura rezerwacji i nasze bilety zostały ostemplowane. Tego dnia opuściliśmy Taszkent i udaliśmy się w drogę do Jangijul. Minęliśmy piękną Samarkandę. Z pociągu widziałam zarysy wieżyczek i fasady najbliższych domów z ozdobami o misternych wzorach; symbol władzy i kultury, która dawno temu upadła.

PODĄŻAJĄC ZA WOJSKIEM POLSKIM

Był wieczór, kiedy zatrzymaliśmy się w Jangijul, nieopodal stacji. Pomiędzy naszym pociągiem a stacją stał inny pociąg, który musieliśmy ominąć, przeciskając się pod wagonami. W ciemności widzieliśmy niewyraźny zarys pociągu, ale stacja była pogrążona w ciemnościach. Ani jednego światła. Nagle, niespodziewanie pojawili się młodzi mężczyźni, którzy otoczyli nas z krzykiem: ,,Pomogę ci!".

Próbowali wyrwać nam z rąk pakunki i walizkę. Stawialiśmy opór. Gdy czołgaliśmy się pod pociągiem drażnili się z nami. Trwało to do momentu gdy dotarliśmy na stację. Stacja była zamknięta. Całą noc musieliśmy przesiedzieć w częściowo osłoniętym kącie z boku stacji. Rano udałam się do biura N.K.W.D na dworcu. Poinformowano mnie, że Wojsko Polskie wyjechało dwa dni temu. Nie było nikogo, kto by się nami zaopiekował. W pobliżu znajdował się sierociniec dla polskich dzieci i podali mi jego adres.

Nasz polski towarzysz został skierowany z powrotem na północ, aby dołączyć do armii generała Berlinga. Dostał bilet, pieniądze i pozwolenie na zakup żywności na stacjach. Wyjechał tego samego dnia.

Generał Berling był sojusznikiem komunistów. U boku Armii Czerwonej utworzył w Rosji Polską Dywizję pod nazwą Kościuszko. Walczyli z Niemcami w Europie.

Sierociniec znajdował się na obrzeżach miasta. Dzień był bardzo upalny. Opuściłam miasto i podążałam długą drogą prowadzącą do dużego wolnostojącego domu otoczonego drzewami. Widziałem błyszczące w słońcu pola porośnięte licznymi arikami. Blada ziemia wyglądała, jakby została wypalona przez wiszący na niebie bezlitosny dysk.

Mijający nas Uzbecy nosili czapki z futrem wywróconym na zewnątrz i w ten sposób chronili się przed upałem. Ludzie ze swoimi okrągłymi, płaskimi twarzami wyglądali przyjaźnie. W końcu trafiłam do sierocińca, ale tam nic nie mogli dla nas zrobić. Był to sierociniec dla dzieci żydowskich. Dla swoich dzieci mieli zapasy jedzenia wystarczające na krótki okres, bez żadnej nadziei na przyszłość. Nie mieli wolnych stanowisk dla jakiegokolwiek personelu, ale życzyli mi powodzenia. Moje nogi stały się ciężkie. Nie chciały iść drogą pokrytą żółtawym, sypkim pyłem. Jakimś cudem dotarłam do miasta. Na rynku kupiłam kilka brzoskwiń.

Kiedy opowiedziałem mamie o wyniku mojej wizyty w sierocińcu, obie zgodziłyśmy się, że trzeba wyruszyć w dalszą podróż za Wojskiem Polskim. Poszłam do N.K.W.D. z prośbą o pozwolenie na zakup biletów. Z ich wiedzy wynikało, że w Aszchabadzie wciąż przebywały jakieś polskie jednostki wojskowe.

Zdobyłam bilety, ale największym problem było złapanie pociągu. Kursowały nieregularne. Czasami przyjeżdżały w nocy lub niespodziewanie w ciągu dnia, niezgodnie z rozkładem jazdy. Były wypełnione pasażerami. Każda nasza próba dostania się do pociągu kończyła się niepowodzeniem. Tylko pojedyncze osoby mogły się przecisnąć. Przez cztery dni biwakowaliśmy w pobliżu stacji. Piątego znów czekaliśmy na właściwym peronie. Kiedy pociąg się zatrzymał, ludzie szturmem go opanowali. Jako pierwsza weszłam po schodach. Za mną czekali chłopcy, a matka była z tyłu. Mężczyzna w drzwiach wagonu chwycił moją walizkę. Mocowałam się z nim. Pociąg ruszył.... Sama nie wiem jak mi się udało wyrwać z jego rąk walizkę i wyskoczyć z jadącego pociągu.

Zdążyłam w samą porę, żeby odstraszyć napastnika, który próbował zerwać sznurek z szyi mojej matki. Na tym ukrytym pod bielizną sznurku miała przywiązany woreczek z pieniędzmi. Napastnik rozdarł jej bluzkę i omal jej nie udusił. Przerażone dzieci płakały, a my wszyscy byliśmy w szoku.

Choć pociąg dawno już odjechał, my nadal staliśmy na peronie. Podeszła do nas Rosjanka i powiedziała: ,,Zauważyłam, że macie trudności z wejściem do pociągu. Chcę wam pomóc. Mieszkam sama w domu. Mój mąż został zabity przez Niemców. Żeby zarobić na życie sprzedaję pasażerom owoce. Znam kilku chłopców, którzy kradną dla mnie jabłka. Płacę im za to i jesteśmy przyjaciółmi. Proszę, przyjdźcie do mojego domu i odpocznijcie. Chłopaki zajmą się pociągiem".

Przyjęliśmy jej zaproszenie. Ostatni incydent był dla nas zbyt trudny do zniesienia. Poza tym, mieliśmy wszy z pociągu i potrzebowaliśmy miejsca, aby się umyć. Dom był biedny, ale bardzo czysty. Niespodziewany przyjaciel pomógł nam z wodą. Wszyscy dobrze się umyliśmy, a potem zmieniliśmy nasze zarobaczone ubrania. Nie sposób opisać słowami jak wielką ulgę odczułam. Utwierdziłam się w przekonaniu, że jesteśmy pod Bożą opieką i ochroną. Dzięki tej opiece będziemy ocaleni. Odkąd rozpoczęliśmy podróż była to pierwsza noc, podczas której spałam spokojnie.

Następnego dnia byłyśmy razem z mamą zajęte zabijaniem wszy i praniem brudnych ubrań, które leżały na dworze przez noc. Słońce wysuszyło je w ciągu mniej więcej godziny. Rosyjscy chłopcy trzymali wartę na stacji. Gospodyni kazała nam być przygotowanymi na sygnał. Wieczorem odpoczywaliśmy na podłodze, ubrani, gotowi do działania. Było już późno, gdy jeden z chłopców podbiegł, dysząc: „Pociąg właśnie przyjechał i zatrzymał się na torze zapasowym. Zwijać się!". Nasza gospodyni odmówiła przyjęcia pieniędzy. Matka wyjęła z walizki nasz budzik. Podarek przyjęła z zadowoleniem.

Z domu wyszliśmy w towarzystwie naszej gospodyni, która pomogła nam jeszcze wejść do pociągu. Pociąg był pusty, a chłopcy sprawdzili, czy jest to pociąg dla nas właściwy. Nasi przyjaciele odeszli. Po chwili, z cichym stukotem kół, ruszyliśmy pustym pociągiem, aby odebrać pasażerów na następnej stacji. Na stacji w Aszchabadzie wydarzył się cud. Na peronie zobaczyliśmy naszego polskiego żołnierza.

Wybiegliśmy z wagonu, żeby go powitać. Przywitał się z nami i poprosił, abyśmy zaczekali na niego, aż skończy sprawdzać pociąg. Powiedział, że czeka, aby połączyć nas z naszymi ludźmi. Żołnierz zaprowadził nas do ciężarówki, która zabierała jeszcze kilka osób i wyjechaliśmy z miasta. Na równinie, na piaszczystym gruncie, stał duży namiot. Biuro.

Funkcjonariusz spisał nasze dokumenty, podał listę przepisów, których należy przestrzegać i zapewnił, że wszystkie moje dokumenty są w porządku. Z pewnością znajdę się na zatwierdzonej liście.

Niosąc koce, wprowadzono nas do namiotu, w którym była już jedna kobieta. Obóz podlegał rozkazom wojskowym i wstaliśmy wcześnie na dźwięk trąbki. Zebraliśmy się na placu na poranną modlitwę. Później, stojąc w kolejce przed kuchnią, otrzymaliśmy śniadanie. Wieczorem funkcjonariusz odczytywał nazwiska z listy zatwierdzonej przez N.K.W.D dla osób, które następnego ranka będą mogły przekroczyć granicę z Iranem.

Wieczorami czytaliśmy instrukcje i informacje. Już pierwszego wieczoru funkcjonariusz poinformował nas, że na granicy rosyjskie pieniądze zostaną skonfiskowane. Ludzie mogli wydawać pieniądze na zakupy w mieście lub wysyłać pieniądze swoim krewnym i przyjaciołom w Rosji. Następnego dnia przekazałam

adres i wszystkie nasze pieniądze, z wyjątkiem kilku rubli, do urzędu, prosząc, aby przesłali je mojej przyjaciółce w sowchozie. Napisałam list, prosząc ją, aby te pieniądze przeznaczyła na pomoc potrzebującym Polakom. Codziennie wieczorem czekaliśmy na wyczytanie naszych nazwisk. Rosło napięcie. Ósmego dnia przyjazny kapral, który regularnie odwiedzał kobietę w naszym namiocie, powiedział: ,,Widziałem wasze nazwiska na liście. Jutro pojedziecie do Iranu".

Niestety, ani tego, ani następnego wieczoru nie odczytano naszych nazwisk. Moje zapytania nie przyniosły odpowiedzi. Dziesiątego dnia wieść o likwidacji obozu spadła jak grom z jasnego nieba. Na placu zgromadzili się pozostali polscy cywile i zalecono im powrót do miejsc, z których przybyli, w przeciwnym razie powinni spróbować osiedlić się prywatnie w dzielnicy. Osiedlić? Jak? Nie mieliśmy do czego wracać, ani pieniędzy, ani ubrań. Zostałyśmy z mamą w sukienkach uszytych ręcznie z pasiastych prześcieradeł i bawełnianych płaszczach, które nosiliśmy w Polsce na ubraniach, dla ochrony przed kurzem podczas letnich podróży. Na nogach bez pończoch miałam stare czerwone sandały z połamanymi rzemykami. A co z dziećmi? Jak mogłabym je ocalić?

Poszłam do urzędu i poprosiłam, żeby mnie zawieźli mnie do komendanta, który mieszkał w mieście. Obiecali spełnić moją prośbę. Rano żołnierz zabrał mnie jeepem do miasta. Zatrzymaliśmy się w centrum Aszchabadu przed dużym budynkiem. Był to sierociniec, kwatera pułkownika Perkowicza[10]. Zapukałem do drzwi. Otworzył je żołnierz na służbie. Zapytał o moje nazwisko. Natychmiast zaprowadził mnie do gabinetu pułkownika. Pułkownik w średnim wieku wysłuchał mojej historii ze współczuciem. Kiedy powiedziałam, że jestem nauczycielką, był zachwycony. Powiedział: ,,Mamy ponad 300 dzieci i tylko jedną nauczycielkę. Witam panią z całą rodziną. Czy w obozie są jeszcze jacyś nauczyciele?". Wspomniałam o pani Dubickiej, którą poznałam niedawno. ,,Proszę ją poprosić żeby przyjechała. Już niedługo będziemy przewozić dzieci do Iranu. Będziecie je eskortować" – powiedział.

[10] Chodzi o pułkownika Edwarda Perkowicza (późniejszego generała). W 1941 roku został wyznaczony na stanowisko przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. W lipcu 1942 roku został mianowany komendantem Bazy Materiałowej w Aszchabadzie.

Tego dnia moja rodzina oraz pani Dubicka wraz z małym synkiem znaleźliśmy schronienie w sierocińcu. Największa katastrofa została zażegnana. Pani Dubickiej powierzono obowiązek opieki nad małymi dziećmi. Dostała łóżko w dormitorium[11] i mogła zatrzymać syna przy sobie. Moja mama miała odpowiadać za dużą bieliźniarkę. Musiała dbać o cotygodniową zmianę bielizny dla wszystkich dzieci. W bieliźniarce mieliśmy dwa łóżka i było wystarczająco dużo miejsca, żeby Zdzisław mógł spać na podłodze. Jan spał na werandzie ze starszymi chłopcami.

Poznałam panią Kuczewską, nauczycielkę, która poinformowała mnie o moich obowiązkach.

Dom był typową orientalną rezydencją z dużą fasadą. Najprawdopodobniej przed upadkiem Turkiestanu był własnością bogatego Turkmena. Jedna ze ścian opadała niczym długie, skręcone ramię oplatające trzy boki dwóch dziedzińców. Na pierwszym dziedzińcu rosło kilka krzewów i znajdowała się fontanna. Niedługo potem fontanna została przekształcona w prysznic, osłonięty płóciennym murem. Czwarta strona dziedzińca była odgrodzona od ulicy murem. Pod tą ścianą stał drewniany magazyn na chleb. Tam odważano jego porcje dla dzieci i personelu. Po lewej stronie, wzdłuż domu, znajdowała się duża weranda. W ciągu dnia służyła jako jadalnia. W nocy spaliśmy na stołach i stołkach. Drzwi z werandy prowadziły do sypialni, drzwi naprzeciwko frontu domu do gabinetu lekarskiego i małego szpitala, z lekarzem i jedną pielęgniarką.

Długi korytarz biegnący przez budynek prowadził na drugi dziedziniec. W korytarzu po jednej stronie znajdowały się umywalnia i toalety, po przeciwnej stronie jeszcze dwoje drzwi, jedne do sypialni chłopców, drugie do bieliźniarki. Na drugim dziedzińcu były magazyny, pralnia i kuchnia.

W jednym kącie pod dachem leżał stos poduszek, kołder i wielu innych przedmiotów pozostawionych przez Polaków w Krasnowodzku. Musieli pozostawić swoje rzeczy przed wejściem na pokład.

Podwórko od tyłu otoczone było bardzo wysokim murem, podobnie jak pierwszy dziedziniec. We frontowym, głównym

[11] Duża sypialnia przeznaczona dla wielu osób, głównie w internatach, bursach i akademikach. Dzieci były lokowane w miejscach zwanych internatami. By nie przypominać im o straconych rodzicach, celowo nie posługiwano się określeniem „sierociniec".

budynku również mieściło się wiele pokoi. Znajdowały się w nim biura administracji sierocińca. Były tam również pokoje dla kierowniczej kadry, urzędników, nauczycieli, wychowawców i pielęgniarek. W sierocińcu mieszkały kucharki, szwaczki, praczki i sklepikarka. Kobiety te dzieliły pokoje.

Osoby odpowiedzialne za administrację sierocińca posiadały dokumenty dyplomatyczne wydane przez Ambasadę RP w Kujbyszewie. Jedynie pan Ponikowski i pani Orłowska mieli swoje pokoje w sierocińcu. Reszta personelu mieszkała w mieście.

Przy głównym wejściu znajdowało się duże pomieszczenie dla czterech żołnierzy, kierowców, którzy dostarczali towary z pociągów. Napływały one nieustannie, głównie od Polaków z Ameryki. Były tam koce, żywność, odzież i lekarstwa. Magazynierzy sortowali je, by wysyłać ładunki do Delegatur na terenie całego kraju, aby te niosły następnie pomoc Polakom.

Przed ostateczną likwidacją obozu wojskowego żołnierze przywieźli do sierocińca puszki smalcu i kilka puszek peklowanej wołowiny. Każdy mógł coś dostać. Moja mama wymieniła trzy puszki mięsa na cztery złote ruble i butelkę wody kolońskiej do celów medycznych. W tej transakcji pomógł jej mieszkający w miasteczku pan Marian Ciechanowski.

Pan Ciechanowski był człowiekiem niezwykłym, intelektualistą, władającym sześcioma językami. Pochodził z zamożnej rodziny, wychował się i kształcił za granicą. Chciał zostać tłumaczem w wojsku. Niestety, przybył za późno i utknął w Aszchabadzie. Ten cichy młody człowiek był bardzo dobrym nauczycielem dla chłopców.

W tak krótkim czasie wydarzyło się tak wiele. Większość rzeczy umknęła mi z pamięci. Pamiętam swoją chorobę. Po zjedzeniu peklowanej wołowiny, zachorowałam na żółtaczkę. Wyzdrowiałam dzięki doktorowi Walizce.

Pod koniec października ruszyły pełną parą przygotowania do transportu grupy dzieci. Moja mama i ja otrzymałyśmy płaszcze i buty. Wezwano mnie do biura i poinformowano, że zostałam wyznaczona do opieki nad dziećmi. Moja mama nie mogła pojechać, ponieważ nie miała paszportu, który umożliwiałby jej uzyskanie wizy. Poprosiłam o jeden dzień zwłoki przed podjęciem decyzji. Problem stał się tak poważny, że nie mogłam go rozwiązać od razu. Jak do cholery mogłam zostawić matkę? Miałam niespokojną noc. Dręczyły mnie rozterki pomiędzy miłością

i lojalnością wobec matki a pewnością uratowania dzieci. Rano zdecydowałam się zostać z mamą. To była najtrudniejsza decyzja, jaką musiałam kiedykolwiek podjąć.

SIEROCINIEC

Codziennie przez drzwi frontowe wpuszczano Polaków szukających schronienia. Wśród innych nieszczęśliwych osób znalazła się rodzina doktora Lebensarta. Było ich troje dorosłych: lekarz, jego żona, ciotka żony i pięcioletnia córka małżonków, która była ciężko chora na pelagrę[12]. Usiedli w kącie werandy. Dziecko nieustannie płakało. Jego organizm nie był w stanie zatrzymać pożywienia ani płynów. Matka i ciotka na zmianę trzymały w swoich ramionach małe, bezwładne ciałko. Obie były na skraju załamania. Moja matka zaproponowała im pomoc, żeby dać kobietom trochę odpoczynku. W rezultacie się zaprzyjaźniły. Na szczęście zarówno kobiety, jak i dziecko dołączyły do grupy dzieci wyjeżdżających na początku listopada 1942 roku. W Teheranie dziecko zostało objęte intensywną opieką i uratowane. Razem z grupą wyjechali też dr Walizko, jego piękna żona i dziecko. Pani Dubicka i kilka innych kobiet pracowały jako eskorta. Doktor Lebensart przejął gabinet i pozostał tam do kwietnia 1943 roku, po czym został aresztowany, podobnie jak reszta personelu sierocińca. Został zwolniony z więzienia i wstąpił do armii generała Berlinga w Moskwie. Po bardzo długiej rozłące rodzina ponownie połączyła się w Polsce.

W listopadzie przybyła z Aktiubińska duża grupa sierot z dwiema siostrami na czele. Jedna z nich była nauczycielką z małą córeczką, a druga była panną. W gronie nowo przybyłych znajdowała się znaczna liczba żydowskich dzieci i młodzieży. Rodzice oddali je do sierocińca z nadzieją, że zostaną uratowane i ostatecznie wyjadą do Iranu. Z bieliźniarki wyniesiono dużą szafę i ustawiono łóżka dla obu pań. Dla Zdzisława nie było już miejsca. Musiał dołączyć do brata na werandzie. Dzięki tym zmianom moja mama uwolniła się od obowiązków. Młodsza panna Hanka została zatrudniona w pralni.

Liczba dzieci rosła. Było ich ponad czterysta. Niemal codziennie matki przyprowadzały swoje dziewczynki i chłopców, które były przyjmowane.

[12] Zob. przyp. 7.

Potem powitano rodzinę Rudnickich z dwoma synami. On był leśnikiem i pracował w przemyśle zbrojeniowym; ona była nauczycielką i pomogła założyć coś w rodzaju szkoły. Któregoś dnia kobieta z Mary, miasta położonego trzysta kilometrów od Aszchabadu, przyprowadziła swoją sześcioletnią córkę. Troszczyła o dziecko i martwiła się o opiekę. Błagała mnie, abym zabrała jej dziewczynkę do naszej sypialni i nie pozwoliła jej wmieszać się w tłum dzieci. Wyjaśniłam, że jej prośba jest niemożliwa. Pokój był mały. Pomiędzy czterema łóżkami były tylko wąskie szczeliny. Pod naciskiem zrozpaczonej matki zgodziłam się. Dziewczynka spała na podłodze w wąskiej wnęce pomiędzy naszymi dwoma łóżkami.

Zaczęliśmy prowadzić regularne zajęcia ze starszymi dziećmi. W sypialniach mieliśmy tablice i kawałek kredy. Każda godzina była improwizowana. Dzieci brały udział, uważnie obserwując. Uczyliśmy się trochę matematyki, trochę historii i geografii, polegając na naszej pamięci. Czasami dzieci pomagały nauczycielowi. Zachowały się wyjątkowo dobrze. Byliśmy przyjaciółmi. Listopad stał się deszczowy i zimny. Pan Ciechanowski codziennie zabierał chłopców do parku, do czasu gdy zrobiło się za zimno.

Kiedyś miejski teatrzyk lalek zaprosił dzieci na przedstawienie. Bardzo im się to podobało. Następnie pracownicy spędzili wieczór w teatrze. Raz był to *Balet*, baśń o królach i wojnie. Muzyka, stroje ludowe, bogate i kolorowe, ruchy były fantastyczne. Drugiego wieczoru odbył się pokaz filmu *Wielki walc*. Dobrze było na chwilę zapomnieć o rzeczywistości. Rozrywkę dla personelu zorganizowała Dyrekcja Domu Dziecka.

Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i sama poszłam zobaczyć miasto.

Wiele pięknych domów zbudowanych przed rewolucją stało obok zburzonych podczas walki o wolność. Nie zostały odnowione ani naprawione. Imperium Turkiestanu upadło w 1924 roku po krwawej wojnie, kiedy ostatni emir uciekł do Iranu. Władzę przejęli komuniści, rządząc surowo, prześladując patriotów i religię muzułmańską. W starym meczecie znalazłem muzeum Rzemiosła Narodowego. Mozaiki na ścianach i podłodze odbijały światło na słynnych dywanach. Pamiętam ozdoby, ceramikę, paski tkane w kolorowe wzory i stroje haftowane jedwabiem, złotem, srebrem i biżuterią. Nakrycia głowy również były bogato haftowane i bardzo piękne.

Były to pamiątki z przeszłości. Teraz ulice były szare i ponure. Tylko ludzie byli tak samo przystojni jak kiedyś, wysocy, o klasycznych rysach twarzy, czarnych, błyszczących oczach i czarnych włosach. Ich język był podobny do tureckiego. Na ulicach nadal nosili stroje narodowe.

Miasto zbudowano w głębokiej dolinie otoczonej górami. Tej zimy nie było mrozu, ale przy temperaturze bliskiej zeru wilgotny chłód był ledwo do zniesienia. W sierocińcu nie było ogrzewania. Dzieci zaczęły cierpieć z powodu zimna i niedożywienia, zwłaszcza chłopcy śpiący na betonowej podłodze na werandzie. Jan zachorował na zapalenie płuc i trafił do naszego małego szpitala. Przynajmniej było tam cieplej i leżał w łóżku. Doktorowi Lebensartowi udało się zdobyć w miasteczku antybiotyki. Porcje chleba stały się mniejsze. Razem z mamą oddawałyśmy go moim synom − ale to nie wystarczyło. Za swoją pracę otrzymywałam bardzo niskie wynagrodzenie.

Gdybym miała pieniądze, mogłabym kupić na targu jogurt, mleko, owoce, ziemniaki, a nawet kawałek kurczaka. Postanowiłam napisać do mojej przyjaciółki, aby poinformować ją o naszej sytuacji i poprosić o zwrot pieniędzy. Przesłała mi je bezzwłocznie. W swoim liście przeprosiła za to, że dała trochę pieniędzy naszym przyjaciołom, rodzinie Pławsiuk, która była bliska śmierci głodowej.

Miasto poznałam dzięki wizytom na rynku. Cieszyłam się, że mogłam podawać moim chłopcom witaminy jako uzupełnienie ich diety.

W lutym grupa dzieci, w tym dzieci żydowskie, w towarzystwie dorosłych przekroczyła granicę z Iranem. Pojechała z nimi także pani Kuczewska i panie z ambasady, które przez kilka tygodni przebywały w sierocińcu. Powiedziano mi, że gdybym wyjechała w listopadzie, moja matka zostałaby wpisana na lutową listę osób chcących „dołączyć do rodziny". Było już za późno. Ktoś musiał wiedzieć, ale zapomniał mnie o tym poinformować.

Nauczyciele zgodzili się wybrać panią Rudnicką na dyrektorkę. Kiedy Jan wyzdrowiał, moja mama zachorowała na obustronne zapalenie płuc. Dzięki mojemu primusowi[13] mogłam gotować dla niej warzywa i mleko. Była bardzo chora i bardzo cierpiała. Z powodu jej kaszlu i plwocin, musiałam przenieść małą dziewczynkę do dużej sypialni z innymi dziećmi w jej wieku. Niedługo

[13] Zob. przyp. 1.

potem odwiedziła ją matka. Widząc dziecko w dużym, nieznanym tłumie, bardzo się na mnie rozzłościła. Nie mogła zrozumieć, że bliski kontakt z chorobą zakaźną jest niebezpieczny dla jej córki. Musiałam przenieść dziewczynę dla jej własnego dobra.

Kobieta zabrała swoje dziecko z powrotem do Mary. Nigdy mi nie wybaczyła. Tak bardzo martwiłam się o moją matkę, że reakcja wściekłej kobiety nie zrobiła na mnie wrażenia. Pomyślałem: „I co z tego?". Mimo to poczułam się zraniona.

O dziwo, stało się to dla dobra ich obojga. Po aresztowaniu całego personelu w 1943 roku i likwidacji sierocińca, rodziny mogły zostać rozłączone na zawsze, co przydarzyło się niektórym dzieciom.

Popołudniami często odwiedzałam internat najmłodszych dzieci. Opowiadałam im bajki, trzymając na kolanach małego chłopca o imieniu Janek. Był bardzo mały jak na swoje trzy lata. Dziecko oparło główkę na moim ramieniu i wydawało się, że słucha i rozumie. Niewiele mogłam dla nich zrobić poza objęciem ich wszystkich sercem. Nigdy nie zapomnę dzieci z sierocińca. Były dzielne i bardzo grzeczne. Znosiły niedogodności i ciężkie życie z hartem ducha i bez narzekania. Luty i marzec sprawiły, że życie w sierocińcu stało się całkowicie beznadziejne. Chłopcy mieszkający na werandzie zachorowali na świerzb. Chłód, wilgoć, brudna bielizna i koce, a do tego okropnie śmierdzące lekarstwa tworzyły obraz skrajnej nędzy. Jakimś cudem dzieci poradziły sobie z tym wszystkim.

Pierwszy dzień kwietnia przyniósł ciepły wietrzyk i słońce. Moja mama, wciąż bardzo słaba, po raz pierwszy wyszła z domu na zewnątrz i siedziała na krześle owinięta kocem. W naszym życiu znów pojawiła się nadzieja.

Zimą przyjechała nowa pani z dwójką małych dzieci. Była to pani Cynk, której mąż pracował w Ambasadzie RP w Kujbyszewie. Podjęła pracę, opiekując się małymi dziećmi i spała w ich internacie.

Po lutym wyjechało wiele dzieci i kilku opiekunów, lecz nadal pozostało ich jeszcze dużo i nie było już wolnego miejsca. Któregoś marcowego dnia pan Orłowski poinformował nas o wizycie N.K.W.D., które zaczęło interesować się dziećmi. Chcieli z nimi rozmawiać i słuchać i dowiedzieć się, o czym się uczą.

Troje z nas, nauczycieli, postanowiło spotkać się, aby ustalić, co mają zrobić dzieci. Ustaliliśmy, że starsze klasy będą miały temat

do wygłoszenia przemówienia. Miało to przygotować dzieci do dyskusji, ale nie na tematy polityczne. W podanym dniu troje nauczycieli z grupą dzieci zebrało się w sekretariacie, aby spotkać się z funkcjonariuszem.

Po zadaniu pytań nauczycielom wysłuchał pierwszego chłopca z mojej klasy. Pamiętam jak przez mgłę, co opowiadały mu moje dzieci. Coś o nauce rzemiosła. Następnie uczeń z klasy mojego kolegi przedstawił szczegółową biografię Józefa Piłsudskiego. Podkreślił ciężką pracę Piłsudskiego na rzecz uczynienia Polski wolnym krajem. Dziecko opowiadało, że Piłsudski był bohaterem narodowym, wielkim człowiekiem, który w czasie wojny w 1920 roku zwyciężył Armię Czerwoną. To on uratował naszą wolność. Funkcjonariusz podziękował dzieciom, zadał kilka pytań i wyszedł. Po tej wizycie było spokojnie. Nie było ani słowa od N.K.W.D., więc doszliśmy do wniosku, że wszystko jest w porządku.

W kwietniu 1943 roku moja mama i kilka innych osób otrzymało pisma wzywające ich do N.K.W.D. Poszli i już nie wrócili. Minęły dwa dni pełne niepokoju i złych przeczuć. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Trzynastego kwietnia wraz z inną grupą dorosłych otrzymaliśmy podobne zaproszenie. Ucałowałam synów i rozstałam się z nimi, nie mając nadziei, że kiedykolwiek ich jeszcze zobaczę. W N.K.W.D zabrali mi paszport i dali do wypełnienia kwestionariusz, długą listę pytań z jednym ważnym pytaniem: „Gdzie mieszkała Pani w dniu wyborów w październiku 1939 r.?". Najwyraźniej dlatego, że mieszkałam na terytorium, które na mocy „referendum" zostało przyłączone do Związku Radzieckiego, automatycznie stałam się obywatelem rosyjskim. W związku z tym byłam zobowiązana uzyskać rosyjski paszport.

Odmówiłam przyjęcia, podobnie jak inne kobiety, więc zabrano nas do pokoju z czystymi łóżkami i kranem z zimną wodą nad małą umywalką. Zostałyśmy tam dwa dni. Codziennie zabierał nas na przesłuchanie oficer N.K.W.D. Mój umysł odmawiał uznania tych procedur za legalne. Wydało mi się to żartem, diabelskim żartem! Nie zrobiłyśmy nic złego, nie byłyśmy przestępcami. Skąd te pytania zmuszające nas do zmiany obywatelstwa i groźba, jeśli odmówimy? Próbowałam wytłumaczyć oficerowi, że jestem polską obywatelką posiadającą legalny polski paszport;

że mój mąż służył w Wojsku Polskim i walczył z Niemcami o wolność Polski i Rosji. Nie mogłam zrzec się prawa do dołączenia do męża w wolnej Polsce po zwycięstwie nad Niemcami.

Wszystkie moje argumenty były daremne.

Wieczorem drugiego dnia zaprowadzono nas do wolnostojącego budynku z jednym dużym pokojem. Mała lampa z sufitu oświetlała jałową salę z betonową podłogą. Było szaro, upiornie, z cieniami w kątach. Podłoga była lodowato zimna. Usiadłyśmy w rzędzie pod jedną ze ścian. Przez całą noc wpychano do środka kolejne kobiety. Drzwi trzaskały bez przerwy, wpuszczając zimne strumienie przeciągów. To trwało, aż do świtu, kiedy cała podłoga zapełniła się kobietami siedzącymi ciasno na piętach. Były to głównie Turkmenki. Nosiły długie płaszcze i spodnie wpuszczone w długie wełniane skarpetki. Ku naszemu przerażeniu kobiety zaczęły polować na wszy w skarpetkach. Wyrzucały je żywcem lub zabijały, przegryzając je.

Rano wszystkie kobiety zostały zaprowadzone przez strażniczkę do pomieszczenia sanitarnego. W jej obecności musiałyśmy się rozebrać i oddać ubranie. Następnie nago, prowadzone przez kobietę odpowiedzialną, poszłyśmy do łazienki z natryskami. Były tam dwa rzędy pryszniców i mnóstwo gorącej wody. Wśród kobiet była młoda Ormianka o niezwykłej urodzie. Miała pasożyty pod pachami i w podbrzuszu. Obsługująca nałożyła jej naftę na chore części ciała. Kobieta jęczała z bólu. Dwie więźniarki pospieszyły jej na ratunek, pomogły usunąć martwe pasożyty. Był to żałosny widok. Obsługująca najpierw zawołała Polki do przebierania się. Powiedziała, że ufa nam, że same weźmiemy ubrania. Kiedy byłyśmy już gotowe, strażniczka zaprowadził Polki do celi, w której znajdowały się wyłącznie kobiety z sierocińca. Niespodziewanie zjednoczone płakałyśmy i śmiałyśmy się. Cela była mała i wąska. Była w niej beczka na wodę pitną i druga na toaletę.

Rozpoczęła się rutyna więziennego życia. Wczesnym rankiem wychodziłyśmy na podwórze, aby się umyć. Znajdowała się tam rynna z odpływem ścieków. Na ramie powyżej wisiały metalowe skrzynki ze szpilkami u dołu. Trzeba było nacisnąć szpilkę, żeby nabrać garści bardzo zimnej, płynącej wody. W celi na śniadanie jadłyśmy kromkę chleba. W beczce było mnóstwo wody do picia. Nasza ,,parasza", czyli toaleta, była opróżniana każdego ranka. Ta otwarta, prymitywna toaleta śmierdziała. Na kolację jadłyśmy

zupę jęczmienną i pszenną z zielonymi pomidorami i suszoną rybą. Siedziałyśmy i spałyśmy na podłodze.

Drugiego dnia do celi przyszło dwóch panów z pytaniem, czy zdecydowaliśmy się na przyjęcie paszportów. Wszystkie odmówiłyśmy. Następnego dnia krewni zostali rozdzieleni. Młodsze kobiety przeniesiono do budynku naprzeciwko, do wspólnej celi z przestępcami. Spędziłam w tej celi sześć tygodni. Była to ogromna sala z rzędem filarów podtrzymujących strop pośrodku. Było tam mnóstwo kobiet w różnym wieku i o różnym pochodzeniu. Siedziały na podłodze, z wyjątkiem kilku, odpoczywających na platformie, wystarczająco wysoko nad podłogą, tak by niektóre z nich mogły spać na tyle szeroko, aby wyciągnąć ciało, nie zwieszając stóp „za burtę". Ta konstrukcja nazwała się „nary".

Większość więźniów stanowiły Turkmenki w średnim wieku, już sądzone i skazane za przemyt i kradzież. Była też grupa rosyjskich nastolatek, dziewcząt, które pracowały w fabrykach. Zostały ukarane za nieobecność w pracy w czasie wojny. Praca w fabryce była traktowana jako służba równa służbie żołnierza w czasie wojny. Każda nieobecność w pracy uznawana była za dezercję i karana grzywną oraz karą więzienia.

Każda cela w więzieniu miała przywódcę wybranego przez współwięźniów. Przewodniczącą naszej celi była młoda studentka polskiego pochodzenia, Łucja Todorowicz. Była idealnym obrazem dziewczyny: blondynka z dwoma długimi warkoczami, niebieskimi oczami, bladą brzoskwiniową cerą, ładną twarzą i niesamowicie zgrabnym ciałem. Studiowała chemię. Podczas jednego ze spotkań uniwersyteckich poznała trzech młodych komunistów z Polski. Wszyscy trzej mężczyźni zakochali się w niej. Jednak dziewczyna nie faworyzowała żadnego z nich. Dziewczyna, co oczywiste, ciekawa była Polski. Zadawała niebezpieczne pytania, oczekując szczerych odpowiedzi. Ufała im i w swojej naiwności krytykowała niektóre aspekty komunizmu. Kiedy Łucja nie chciała zostać dziewczyną jednego z nich, mężczyzna doniósł na nią do N.K.W.D, określając ją jako wroga kraju. Łucja została aresztowana, osądzona i osadzona w więzieniu, a następnie wysłana do pracy w obozie jenieckim. Strażnicy próbowali ją pocieszać, mówiąc, że dzięki wykształceniu zostanie zatrudniona w biurze, gdyż zwyczajem jest wykorzystywanie więźniów do granic ich możliwości. Przodkowie jej ojca pochodzili z Wilna. Jej

ojciec był inżynierem i został zamordowany przez komunistów, gdy Łucja była dzieckiem. Codziennie o zmierzchu kilka z nas siadało przy niej i rozmawialiśmy. Ujawniła wiele tragedii, które rozegrały się w naszej celi.

Drugiego dnia w naszym nowym miejscu pobytu wszystkie kobiety z sierocińca otrzymały identyczne paczki z jedzeniem. Musieliśmy pójść ze strażnikiem do biura, aby odebrać paczkę i podpisać pokwitowanie. Łucja poinformowała nas o więziennym zwyczaju przekazywania paczek przełożonej, która miała rozdzielić jedzenie pomiędzy wszystkie więźniarki. Zrobiliśmy tak, z wyjątkiem urzędniczki i jej matki.

Po ceremonii dzielenia się ze wszystkimi większość naszych przesyłek została zwrócona. Kobiety siedzące na podwyższeniu natychmiast zaproponowały nam odsprzedanie swoich miejsc za porcję chleba. Z radością się zgodziłyśmy. Wszyscy byli zadowoleni. Po mojej stronie celi były nas trzy, blisko Łucji. Wszystkie inne Polki siedziały na podwyższeniu po przeciwnej stronie celi. W nocy dziewczyny dały nauczkę urzędniczce i jej matce. Wczołgały się pod platformę i gwałtownie potrząsnęły obiema kobietami. Ukradły im też paczki. Nikt się nie wtrącał. Przełożona milczała. Dziewczyny przestrzegały więziennego regulaminu, to wszystko.

Wydawało się, że w monotonii codziennej rutyny więźniowie mogli popaść w apatię lub otępienie, pogrążeni we własnym nieszczęściu. Aż trudno uwierzyć, że istniało życie, specyficzne więzienne życie, które wymagało pomysłowości i sprytu: na przykład, jak zdobyć papierosa i jak go zapalić. Obserwowałam, jak ludzie zabijali czas. Wśród zatrzymanych było dwóch młodych rosyjskich nauczycieli, którzy włamywali się do domów i kradli artykuły gospodarstwa domowego. Od rana do wieczora zajęci byli upiększaniem się, masażami i gimnastyką, pomagając sobie nawzajem z wielkim wprawą.

Pewnego ranka naczelnik zapytał, czy ktoś nie chciałby pracować w więziennej pracowni. Kilka kobiet zadeklarowało chęć. Wśród nich była Wasilisa, drobna, energiczna, szczupła kobieta w średnim wieku z kruczoczarnymi włosami i błyszczącymi, czarnymi oczami, płonącymi w jej bladej twarzy jak dwie pochodnie. Była złodziejką. Pracowała w zespole z wnukiem. Była gadułą, opowiadała historie swoim przyjaciołom i chwaliła wnuka

za jego spryt. Marzyła głośno o wolności i planowała działać na większą skalę. Od pierwszego dnia pracy przynosiła pióra, bawełniane nitki do szycia i igłę. Później podkradała kawałki materiału, a w nocy zaczęła robić z tych resztek małą poszewkę na poduszkę, którą wypełniała piórami i kładła na niej głowę. To było pomysłowe – aby nie zostać wykrytym w obliczu dozoru. Była bardzo dumna ze swoich umiejętności.

Pewnego dnia wybuchło wielkie zamieszanie. Wszystkie kobiety były wzburzone. Ktoś ukradł kawałek chleba staremu Turkmenowi. Łucja zorganizowała poszukiwania. Przeszukanie, wśród krzyków i przekleństw, przebiegło szybko. Znaleźli chleb. Złodziej był mocno szarpany i poturbowany. Kradzież chleba więźniom była „zbrodnią"; wszystko inne było dozwolone.

Z reguły kobiety w ciąży otrzymywały gęstszą zupę z kawałkiem ryby. Ku zaskoczeniu wszystkich młoda Turkmenka poprosiła o specjalną dietę ze względu na ciążę.

Strażniczka, która dobrze znała więźniarkę, nie chciała jej uwierzyć. Mąż młodej żony przebywał w więzieniu od dwóch lat. „Widzisz" – powiedziała kobieta − zaszłam w ciążę dwa lata temu. Moje dziecko zasnęło i przestało rosnąć. Znowu zaczęło rosnąć. Czuję, jak się porusza" – oznajmiła. Wszyscy w celi się śmiali.

Podczas sprzątania pokojów często prałyśmy bieliznę. Suszyłyśmy ją na plecach. W takich chwilach, cierpliwie czekając, aż wyschnie, pogrążałyśmy się w niekończących się rozmowach o jedzeniu. Przypominałyśmy sobie najlepsze przepisy i opisywałyśmy wygląd, aromat i smak potraw, aby uczestniczyć w wyimaginowanej uczcie.

Próbowaliśmy zapamiętać fakty i daty z historii lub miejsca z geografii. Co wieczór wszystkie Polki modliły się wspólnie na głos. Wieczory ustąpiły miejsca nocom, najtrudniejszej porze dnia, pozostawiając ludzi sam na sam ze swoimi myślami. W ciągu dnia myśli można było stłumić, ale w ciemności umysł był dręczony i zamęczany pytaniami: Co stanie się z dziećmi? Z nami wszystkimi? Nie było ani odpowiedzi, ani nadziei. Przez małe okienko wysoko w ścianie mogłam widzieć niebo w ciągu dnia. W nocy czerń zasłaniała okno niczym solidna ściana. Mała lampka na suficie patrzyła mi w oczy swoim żółtym światłem, które mnie bolało i niepokoiło. Nie mogłam się ruszyć, żeby zmienić pozycję – leżałyśmy razem tak ciasno, jak sardynki w puszce.

Po północy na ścianach pojawiały się pluskwy i co noc byłyśmy kąsane. Szkodniki pełzały też po podłodze. Całe podłoga była pokryta śpiącymi kobietami. Rzucały się i jęczały przez sen. Odór spoconych ciał przyprawiał o mdłości. Kiedy niebo o świcie zaczęło tracić swoją czerń, wiedziałam, że nadejdzie kolejny dzień i znów miałam nadzieję, czekając na coś… może na cud.

Po raz kolejny odwiedziło nas dwóch dżentelmenów w cywilnych ubraniach. Odwoływali się do naszej mądrości. Powiedzieli nam, że trafiłyśmy do więzienia z własnej woli. Nie jesteśmy przestępcami. W chwili, gdy złożymy wniosek o paszporty, zostaniemy uwolnione. Nikt im nie odpowiedział.

Więźniowie przychodzili i odchodzili. Piękna Ormianka miała bogatych protektorów. Mówiła wszystkim, że wkrótce będzie wolna. Jej przestępstwem była kradzież towarów i pieniędzy ze sklepu, którym kierowała. Podczas kontroli stwierdzono nieprawidłowości. Natychmiast trafiła do więzienia. Jej opiekunowie zapłacili szefowi, a pani Ormianka z uśmiechem opuściła celę.

Codziennie ktoś był prowadzony na proces i skazany na jakąś karę. Jedna ze zwolnionych dziewczyn okazywała jedynie smutek i rozpacz. Po powrocie do celi płakała, ponieważ to była jej ostatnia noc w więzieniu. Nie miała gdzie ani do kogo pójść. W więzieniu miała miejsce do spania na podłodze i codziennie dostawała jedzenie. Była tu bezpieczna. Rano strażniczka zabrała szlochającą dziewczynę do biura, żeby podpisała dokumenty.

Pewnego dnia okazało się, że każda kobieta w celi miała zostać poddana rewizji osobistej. Po kolei wyprowadzono nas na dziedziniec i rozebrano do naga. Dwóch strażników zajrzało nam do włosów, uszu, pach, stóp i dolnych części ciała. To było poniżające, okropne i odrażające.

Jeżeli naczelnik przychodził do nas o późnej porze, wiedziałyśmy, że ktoś ma zostać postawiony przed sądem na rozprawę. Naczelnik zawołał moje imię. Kierowca zabrał mnie więzienną furgonetką do sądu miejskiego. Znajdował się on w zwykłym, niczym się niewyróżniającym domu. W sali znajdowało się kilka rzędów ławek, podobnych do tych, które spotykaliśmy w małych kinach. Z przodu przy stole siedziała sędzia w średnim wieku i dwóch mężczyzn. Woźny w mundurze stał niedaleko drzwi. Kilka osób siedziało na ławkach niedaleko frontu. Zaprowadzono mnie do ławki znajdującej się najbliżej tyłu. Weszliśmy na salę

w połowie rozprawy, więc musiałam poczekać na swoją kolej. Słysząc swe nazwisko wstałam. Sędzia odczytała na głos szczegóły mojego przestępstwa. Przeczytała, że mieszkam blisko granicy w mieście, w którym ludzie powinni mieć paszport, wizę i pozwolenie na pobyt w Aszchabadzie. Mimo to zlekceważyłam przepisy i mieszkałam tam bez paszportu i bez wizy. Dlatego też miałam zostać ukarana zgodnie z prawem – czyli pracować przez dwa lata w obozie jenieckim. ,,Czy więzień ma coś do powiedzenia?" – zapytała sędzia.

,,Obywatelko sędzio" – powiedziałam. Osądziliście mnie pod fałszywym pretekstem, bo tak naprawdę mam paszport i wizę ważną przez najbliższe trzy miesiące". „W takim razie proszę okazać mi go" – powiedziała sędzia. „Mój paszport został zabrany przez NKWD i jest w ich biurze" – odpowiedziałam. ,,Powinnam mieć pani paszport na stole. Nie ma żadnego dowodu na to, że w ogóle posiada pani paszport. Dlatego orzekam, że jest pani winna popełnienia przestępstwa" – oświadczyła sędzia. Nie było nic więcej do dodania. Byłam bliska płaczu, czując swoją bezsilność wobec niesprawiedliwości i kłamstw. Czułam się jakbym stała pod ścianą, której nie mogłam przeskoczyć ani zburzyć. Oszołomiona wróciłam do więzienia. Następnego dnia otrzymałam pisemny wyrok z zapisaną uwagą, że zachowałam się „wyjątkowo prowokacyjnie".

Minął następny dzień. Wieczorem naczelnik powiedział mi: „Zabierz wszystkie swoje rzeczy i chodź za mną". Poszliśmy się do więziennego biura, gdzie naczelnik poinformował mnie o moim zwolnieniu. Powiedział, że rano muszę opuścić Aszchabad. Jeżeli tego nie zrobię, zabiorą mnie z powrotem do więzienia. Zapytałam o moją matkę. „Nie ma jej na liście osób, które chcą wyjechać" – powiedział.

WOLNOŚĆ

Było późno i ciemno. Pospieszyłam się, prawie biegnąc do sierocińca. W biurze paliło się światło. W naszym pokoju Zdzisław spał na moim łóżku. Mała dziewczynka spała na łóżku swojej mamy. Jan miał nocną wartę. Pobiegłam pod prysznic, szybko się umyłam, włożyłam czystą sukienkę i poszłam do biura. Wszyscy na mnie czekali. Wiedzieli o moim przybyciu. Byli pan Ponikowski, pan Orłowski, pan Ciechanowski, pani Cynk i panna

Malinowska, a nawet pan Lewkowicz i pan Kokoszko z amunicji. Pytali o więzienie i ludzi, z którymi tam przebywałam. Pan Ciechanowski nalegał, abym napisała o więzieniu. Pan Ponikowski dał mi dokumenty i pisma do urzędu granicznego, gdzie miałabym zapewniony transport. Musiałam zająć się małą grupą z miasteczka o nazwie Mary. Były tam dwie matki z dziećmi, jedna samotna młoda kobieta i jeden mężczyzna. Byli już w sierocińcu i czekali na poranny wyjazd.

Miałam jedną noc z synami i też musiałam się spakować. Zdzisław wracał do zdrowia po malarii. Wiele dzieci było chorych. W naszym szpitalu nie było dla niego łóżka, więc został w naszym pokoju. Lekarz z miasteczka odwiedzał chore dzieci raz w tygodniu. Starsze, osierocone dziewczynki opiekowały się chorymi młodszymi dziećmi. Sierociniec prowadzony był przez dzieci pod opieką dwóch kobiet, pani Cynk i pani Malinowskiej, które w dniu referendum nie znajdowały się na terytorium anektowanym. Kuchnia, pralnia, chleb i jedzenie, opieka nad najmłodszymi, bezpieczeństwo w nocy – wszystko było w rękach dzieci. Cały personel, łącznie z doktorem Lebensartem, był w więzieniu. Dochodziło do prób kradzieży żywności z magazynu. Chuligani próbowali wspiąć się na mur. Jan, w wieku dwunastu lat, był przywódcą dziesięcioosobowej grupy chłopców uzbrojonych w kije. Za każdym razem udawało im się odstraszyć chuliganów. Jan czuwał każdej nocy. Żeby nie zasnąć pił naszą wodę kolońską.

Obaj moi synowie byli szczupli, sini, z czarnymi obwódkami wokół oczu. Nagle pomyślałam, że w ciągu ostatnich sześciu tygodni podrośli. Zdzisław był bardzo słaby. Skarżył się, że Jan go ugryzł, gdy był bardzo chory. Jan powiedział: „Lekarz kazał mi czuwać nad chorym bratem i nie pozwalać mu wstawać z łóżka". Ilekroć Zdzisław wstawał, Jan popychał go na ziemię, a czasem mocując się z chorym, gryzł go.

Noc była krótka. Uporządkowałam nasze skromne dobra, zostawiając w biurze spakowane w walizce rzeczy matki. Poznałem ludzi, za których miałam być odpowiedzialna. Wsiedliśmy do ciężarówki prowadzonej przez polskiego żołnierza i ruszyliśmy w stronę granicy. Po kilku godzinach przeszukali nas celnicy. Zabrali mi z ręki obrączkę i pierścionek zaręczynowy, pozostawiając jedynie obrączkę mojego męża, twierdząc, że nie wolno mi przewozić rosyjskiego złota. Pokazałam datę mojego ślubu

w Polsce, która była wygrawerowana wewnątrz obrączki. Złoto było polskie, a nie rosyjskie.

Inni byli mądrzejsi. Ukryli biżuterię w kostkach mydła albo w naramiennikach płaszczy. Jan miał mój najlepszy pierścionek w kieszeni płaszcza, więc go uratował. Wyszliśmy z urzędu celnego i zatrzymaliśmy się w małej herbaciarni. Zostawiłam swoją kompanię w herbaciarni i udałam się z dokumentami do biura transportu, żeby załatwić samochód na dalszą podróż przez Iran. W biurze powiedziano mi o wypadku, który miał miejsce poprzedniego dnia. Ciężarówka spadła z wąskiej drogi i uszkodziła jej fragment. Mieli nadzieję naprawić ją w nocy. Samochód byłby gotowy późnym wieczorem, jeśli chcielibyśmy jechać tego samego dnia. W przeciwnym razie moglibyśmy tam przenocować i wyjechać następnego ranka. Sama nie mogłam podjąć decyzji. Wróciłam do herbaciarni. Wszyscy bali się podróżować nocą niebezpieczną drogą, dlatego postanowiliśmy zaczekać z transportem do rana. Musiałam ponownie udać się do biura i poinformować ich o naszej decyzji.

Mieliśmy bardzo mało pieniędzy i nie mieliśmy jedzenia. Zawarliśmy umowę z gospodarzem; da nam herbatę i chleb na kolację i to samo jedzenie na śniadanie, a my zapłacimy częściowo pieniędzmi, a częściowo wełnianymi skarpetkami, które dostaliśmy w sierocińcu. Noc spędziliśmy, siedząc wokół dużego stołu, na którym spało pięcioro dzieci. Rano przekroczyliśmy granicę, siedząc ciasno stłoczeni w otwartej ciężarówce.

Wąska droga wrzynała się w zbocze góry. Wiła się niczym długi wąż, pnąc się coraz wyżej i wyżej. Byliśmy wolni. To była gorzka świadomość. Nie byłam szczęśliwa. Zostawiłem za sobą rozbity dom, trzy lata życia w niewoli i opuściłam matkę... Okrucieństwo losu dręczyło mój umysł – pytanie: Dlaczego? Co sprawia, że tak się dzieje? Wyrzuty sumienia i udręczone myśli brzęczały mi w głowie niczym uparte muchy.

Dotarliśmy na miejsce niedawnego wypadku. Część drogi wciąż była nienaprawiona i została tylko tymczasowo załatana. Obserwowaliśmy to bez słów. Nagle uświadomiłam sobie, jak łatwo byłoby zginąć na tej drodze, zamkniętej z jednej strony masywnym murem, a z drugiej otwartej na przepaść. Mówią, że umierający ludzie w mgnieniu oka widzą całe swoje życie od początku. Miałam podobne doświadczenie u progu wolności.

Jednak nie złamało mnie to. Obecność moich synów dawała mi ukojenie. Życie i zmaganie się miały cel.

Zdzisław nie czuł się dobrze. Był blady, siedział cicho i wyglądał na bardzo zmęczonego. Inne dzieci zaczęły rozmawiać, wymieniając uwagi na temat krajobrazu surowego piękna gór i kolorowych skał. Stoki były nagie, ale kolory i kształty skał czyniły je fascynującymi. Stoki były czerwone, pokryte masą maków w pełnym rozkwicie. W niektórych miejscach zbocza były fioletowe od kwiatów. Nie było żadnych drzew ani nawet małych krzewów.

W południe dotarliśmy do Kuchan. Zatrzymaliśmy się pod podanym adresem. Była to Czeska Poczta Handlowa. Drogą dyplomatyczną w ich siedzibie zorganizowano dla nas kolację. Powitano nas serdecznie i poczęstowano doskonałym posiłkiem. Zdzisław pozostał w ciężarówce. Trząsł się, a jego temperatura rosła. Odmówił jedzenia.

Po kolacji pośpieszyliśmy, aby przed nocą dotrzeć do Meszhedu. Znajdował się tam polski sierociniec i polski lekarz. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, Zdzisław został zabrany do szpitala w sierocińcu pod opieką naszego przyjaciela, doktora Walizko. Ponownie zachorował na malarię.

Wszyscy zamieszkaliśmy w silosach, swego rodzaju pensjonacie dla podróżujących Polaków. Pierwotnie były one magazynem na kukurydzę wybudowanym przez niemiecką kompanię przed drugą wojną. W tym czasie były już nieużywane. W domu mieszkalnym znajdowały się duże pokoje dla podróżnych, kuchnia, łazienka i pomieszczenie dla gospodyni. Poczęstowała nas herbatą i kanapkami. Każdy otrzymał po dwa koce. Wszyscy spaliśmy w jednym pokoju na podłodze. W silosach przebywaliśmy dwa tygodnie, do czasu aż Zdzisław wyzdrowiał. Mieliśmy jedzenie i odpoczynek, żeby zregenerować siły. Podczas naszego pobytu w Meszhedzie wydarzył się bardzo poważny incydent. Władze radzieckie zerwały stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim na Uchodźstwie. Było to około 25 maja 1943. Ambasada RP w Kujbyszewie musiała opuścić Związek Radziecki, a ludność polska została pozbawiona ochrony.

Ambasada RP dotarła do Meszhedu w drugim tygodniu naszego pobytu. Niektórzy urzędnicy zatrzymali się w silosach, inni w mieście. Razem z nimi podróżowała grupa sióstr zakonnych. Opuściliśmy Meszhed wraz z zakonnicami i członkami Ambasady. Była to

długa karawana ciężarówek pokrytych plandekami z płótna, która przetaczała się przez rozległe połacie dzikiej krainy bez żadnych osad. Rzadko kiedy widzieliśmy wioskę w dolinie poniżej, z drzewami, trawą i rzeką. Po drodze minęliśmy kilka samotnych, opuszczonych domów zbudowanych z gliny, częściowo rozsypanych, zbudowanych w odludnych miejscach na nagich skałach. Aby dostać się do doliny, musieliśmy przeprawić się przez głęboką wodę. Nocny ulewny deszcz przerwał brzegi strumienia. Wezbrana woda wlewała się do doliny, zalewając drogę. Ciężarówka z rykiem silnika, kołysząc się niebezpiecznie, ruszyła powoli naprzód. Każda sekunda mogła przynieść katastrofę. Ciężarówka z zakonnicami jechała przed nami. Nagle stanęła niemal pionowo, z przednimi kołami uniesionymi do góry, a tylnymi wbitymi w wąwóz. Trwało to tylko kilka minut. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, wszyscy odetchnęli z ulgą. Zatrzymaliśmy się tylko raz na posiłek w herbaciarni. Jedliśmy pilaw z ryżu i bardzo tłustej baraniny, a potem podano nam herbatę. Było bardzo gorąco. Dach nad ciężarówką dawał niewiele cienia. Powietrze pod nim było parne, a my byliśmy bardzo zmęczeni. Po południu dotarliśmy do Teheranu.

Gdy tylko dotarliśmy do obozu, otoczyły nas żydowskie dzieci z Aszchabadu. Powitały nas i zabrały mnie i moich chłopców do swojego dormitorium, oferując poczęstunek i możliwość odświeżenia się. Ucieszyłam się, widząc je w dobrym zdrowiu, pod opieką polskich władz. Wszystkie żydowskie dzieci uczęszczały do polskich szkół znajdujących się w obozie. Żydowska parafia w Teheranie przejęła ich religijne wychowanie. Każdy szabat celebrowali pod przewodnictwem rabina, modląc się i tańcząc. Później większość żydowskich dzieci z Aszchabadu została wywieziona przez władze żydowskie do Palestyny jako symbol odrodzenia narodu izraelskiego. W Izraelu nazywa się je dziećmi teherańskimi.

W Teheranie spędziliśmy trzy miesiące. W tym czasie miało miejsce kilka ważnych wydarzeń. Najpierw moi synowie, wraz ze wszystkimi dziećmi w obozie, przystąpili do pierwszej komunii. Potem przyjechał do nas mój mąż na dwudniowy urlop z Iraku. Był żołnierzem Wojska Polskiego, pracował w biurze w Kirkuku, dowodzonym przez generała Andersa.

Za czas pobytu w więzieniu otrzymywałam od Delegatury żołd. Właściwymi kanałami wysłałam paczkę do mamy, ale ona nigdy jej nie otrzymała, bo była źle zaadresowana.

Jednak najbardziej przygnębiające wieści nadeszły z Gibraltaru. Generał Władysław Sikorski, dowódca Wojska Polskiego na Zachodzie i premier polskich władz na uchodźstwie, zginął w katastrofie lotniczej na morzu. Zdarzyło się to w czasie, gdy Ameryka, Anglia i Rosja decydowały o statusie Polski bez polskiego przedstawiciela. Pozostawili Polskę pod opiekę Moskwy. Armia Czerwona pozostała w Polsce, a kraj został przekształcony w państwo komunistyczne od 1945 roku aż do upadku komunizmu w Związku Radzieckim.

Dostałam powołanie do pracy w szkole w Isfahanie[14] w Iranie. W liście wzywano mnie do stawienia się w oddziale specjalnym polskiego urzędu, abym opowiedziała im o moim życiu w Związku Radzieckim i więzieniu. Przyjęli mój pisemny wyrok z procesu – „za odmowę przyjęcia rosyjskiego paszportu – dwa lata pracy w obozie jenieckim".

Urząd znajdował się w centrum miasta. Były tam ładne domy, duże sklepy, restauracje i szerokie, czyste ulice. Na końcu ruchliwej głównej ulicy widziałem lwy przy bramie pałacu szacha. Boczne uliczki były zakurzone i prawie puste. Wysokie mury zasłaniały duże rezydencje i ogrody należące do bogatych ludzi. Ciężkie bramy były zamknięte. W pobliżu murów unosił się odór ludzkiego moczu.

Do Isfahanu przybyliśmy na początku września 1943 roku. Zatrzymaliśmy się w „pensjonacie" mieszczącym się w bardzo dużym domu. Na parterze znajdowały się sklepy z zaopatrzeniem dla szkół i biur w Isfahanie. Były tam pokoje dla personelu i kuchnia. Na pierwszym piętrze znajdowało się biuro, mieszkania urzędników i pokoje dla gości. Drugiego dnia odwiedził mnie pan Juzwa[15], dyrektor szkoły dla chłopców N15.

Następnego dnia Jan dołączył do klasy V, a Zdzisław do III klasy. Spali z chłopcami w dormitorium, które jednocześnie było ich salonami. Dzieliłam mały pokój z nauczycielką, panią Kaczorowską. Praca się rozpoczęła. Miałam piątą klasę i uczyłem historii Polski w klasie szóstej, która była przeznaczona dla starszych uczniów. Lekcje odbywały się w parku otaczającym budynki. Miejsce było

[14] Isfahan nosi tytuł miasta polskich dzieci. Schronienie tam znalazło 20 tys. dzieci, które wraz z Armią Andersa opuściły ZSRR.

[15] Być może chodzi o Stefana Juzwę, nauczyciela matematyki z Tarnopola, komendanta hufca harcerskiego w Isfahanie.

urokliwe, ze starymi drzewami i krzewami, drzewkami owocowymi oraz mnóstwem ścieżek i dużych trawników. Miejsce było idealnie dla chłopców do biegania i zabawy. Mogliśmy je użytkować dla polskich dzieci tak długo, jak było to konieczne. Istniało wiele podobnych szkół podstawowych dla dziewcząt i gimnazjów. Znałam tylko szkołę podstawową dla chłopców N1, gimnazjum dla dziewcząt N6 i gimnazjum dla dziewcząt w Dżulfie[16]. Region ten zamieszkiwali Ormianie, którzy byli chrześcijanami. Wielu nauczycieli angażowało się w pracę z dziećmi i młodzieżą w rejonie, a nadzór nad szkołami sprawował Inspektor Oświaty. Mieszkał w tym mieście i miał tam swoją siedzibę.

Pamiętam Isfahan jako bezpieczny port po niebezpiecznej podróży. Miesiące spędzone tam dały siłę fizyczną i odprężenie psychiczne zarówno dzieciom, jak i dorosłym. Spokój, przyjazna opieka i miejsce pozbawione zmartwień, wszystko to było najlepszym lekarstwem. Po badaniach lekarskich Jan został przyjęty na terapię do sanatorium dziecięcego. Cierpiał na ciężką anemię. Po kilku tygodniach wrócił wypoczęty. Sanatorium pomogło i uratowało przed śmiercią głodową wiele chorych dzieci. Niektóre z nich były wychudzone jak szkielety. Wojsko Polskie wyruszyło z Iraku do walki z Niemcami. Mój mąż miał krótki urlop, zanim został skierowany do Wydziału Oświaty w Kairze.

Po jego wyjeździe znalazłam dla siebie mikroskopijne pomieszczenie w kotłowni. Byłam już niedaleko dormitorium Zdzisława. Każdego wieczoru słyszałam, jak wspólnie odmawiali modlitwy. To był ich własny pomysł, aby modlić się o powrót do swoich domów. Każdego wieczoru przed pójściem spać dzieci i personel gromadzili się, aby odmówić wieczorną modlitwę przed małą kapliczką umieszczoną na drzewie rosnącym w głównej alei. Chłopcy byli daleko od rodziców, służących w Wojsku Polskim. Inni byli sierotami. Modlitwa przybliżała ich do Boga, Ojca, który kocha wszystkich ludzi. Wśród grona pedagogicznego był młody ksiądz, który był przewodnikiem duchowym chłopców. Szanowali go i ufali mu. Opowiadali księdzu o swoich problemach i zmartwieniach. Potrafił wyjaśnić, rozwikłać ich kłopotliwe sprawy i udzielić właściwych porad. Był ich nauczycielem i przyjacielem, pomagającym kształtować charaktery dorastających chłopców.

[16] Dzielnica Isfahanu.

W Aszchabadzie sierociniec został zamknięty. Pan Orłowski przywiózł dzieci do Isfahanu. Razem z nimi była rodzina Rudnickich. Chłopcy poszli do szkoły N1, a młodsze dzieci zostały zabrane do sierocińca w mieście. Razem z nimi była mała dziewczynka, córka nauczycielki z sierocińca w Aktiubińsku. Poszłam do sierocińca, żeby zobaczyć dziecko, zapomniałam jak ma na imię. Raz zabrałam ją na weekend do domu. Jakiś czas później do sierocińca przyszedł list od jej matki. Był to list pełen głębokiego żalu z powodu wielkiej straty dziecka, które zostało rozłączone z matką w najbardziej okrutny sposób. Byłam bezradna. Nie mogłam nic zrobić, żeby pomóc matce być przy dziecku. List nie miał zwrotnego adresu.

Otrzymałam wiadomość o mojej mamie. Została zwolniona z więzienia i wysłana do Mary, 300 kilometrów na północ od granicy, gdzie mogła mieszkać bez paszportu.

Po lekcjach młodsi chłopcy byli wszędzie, w parku i przy wąskim kanale nawadniającym pola, biegnącym tuż przy parku. Niektórzy próbowali pływać w dużej drewnianej misie pożyczonej z pralni. Inni wspinali się na drzewa i zbierali owoce morwy. Było mnóstwo zajęć i powodów do radości. Pewnego razu bliźniacy z trzeciej klasy rozpalili ognisko. Starsi chłopcy byli zajęci intensywnymi treningami i nauką wielu umiejętności potrzebnych do egzaminów. Chcieli zdobyć nagrody, a wraz z nimi pozycję liderów nad „młodymi". W niedziele wszyscy chłopcy i nauczyciele chodzili do kościoła w Dżulfie. Pan Juzwa organizował wycieczki po mieście. Byliśmy w meczetach, zwiedzaliśmy pałac królewski, bazar i góry niedaleko miasta.

Wiosną Zdzisław miał kolejny atak malarii. Został zabrany do szpitala w mieście, gdzie spędził ponad dwa tygodnie. Pamiętam Pietrzaka, bardzo mądrego chłopaka, który chodził do trzeciej klasy. Miał mnóstwo pomysłów jak zabawiać swoich kolegów wieczorami. Bawił ich, naśladując ludzi, których widział na ulicy, grając irańską muzykę na ich narodowych instrumentach i nosząc fantazyjne stroje uszyte z ręczników i prześcieradeł. Po jego występach chłopcy spali spokojnie.

Czerwiec 1944 roku przyniósł początek wielkich zmian. Kilku starszych chłopców opuściło naszą szkołę i wstąpiło do wojskowej organizacji dla młodych mężczyzn. Niedługo potem rozpoczęła się likwidacja wszystkich szkół i zamknięcie wszystkich urzędów.

Utworzono dwie duże grupy; jedna pojechała do Valivade w Indiach, druga do Nowej Zelandii, a duża grupa rodzin z dziećmi została skierowana do Afryki. Było już wiele polskich rodzin, uratowanych ze Związku Radzieckiego i wysłanych do kolonii brytyjskich. Zakwaterowano je w obozach. Potrzebowali szkół i polskich nauczycieli. Departament Edukacji w Egipcie zaczął szukać nauczycieli w wojsku i wysyłał ich do Afryki. Wśród wybranych znalazł się mój mąż. Przybył do Isfahanu, aby zabrać nas ze sobą do Lusaki w Rodezji Północnej. Cała moja rodzina przeprowadziła się do pensjonatu w oczekiwaniu na transport, który miał nas zabrać do portu Ahwaz na południu Iranu. Spaliśmy na podłodze wraz z dużą grupą innych osób. Było gorąco i brudno, czekaliśmy tam dwa tygodnie. W końcu załadowano nas na ciężarówkę.

To była bardzo długa podróż. Droga była zatłoczona, bo mnóstwo ciężarówek wiozło zaopatrzenie dla armii rosyjskiej z południowych portów Iranu do Związku Radzieckiego. Dostawy docierały do Iranu statkami i samolotami i pochodziły głównie ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i innych krajów zachodnich. Była tam broń, pistolety, amunicja, żywność, odzież i sprzęt medyczny.

W Ahwazie czekaliśmy na statek, zatrzymując się w pustej szkole. Było ciepło. Statki przypływały i odpływały, przewożąc żołnierzy i broń; musieliśmy poczekać na swoją kolej. Upał stawał się nie do zniesienia. W nocy próbowaliśmy spać przed szkołą na stołach pod moskitierą. Byliśmy dobrze odżywieni i piliśmy dużo wody. Po raz ostatni jedliśmy irański chleb. Miał kształt pizzy i był pyszny.

Po upływie około dwóch tygodni byliśmy na pokładzie statku płynącego po Zatoce Perskiej. Statek był przeciążony. Nie było gdzie się schronić przed upałem. Wszyscy cierpieli; skóra pokrywała się czerwonymi, swędzącymi plamami, które przekształcały się we wrzody. Bryza na Oceanie Indyjskim była błogosławieństwem. Dotarliśmy do Karaczi, a pasażerowie zostali przewiezieni do obozu niedaleko miasta. W biurze pracowali Brytyjczycy, a polski delegat, pan Rosada rezydował w mieście.

Obóz był dobrze zorganizowany. Umieszczono nas w namiotach podzielonych na dziesięć grup, a w każdej z nich wyznaczona została osoba odpowiedzialna. W obozie znajdowały się budynki biurowe, kuchnia, duża sala służąca za jadalnię oraz mały szpital z namiotami i gabinetem lekarskim. Administrację od obozu oddzielała duża przestrzeń. Mieliśmy prysznice na otwartej

przestrzeni, osłonięte niską płócienną ścianką, a kilka toalet zbudowano z desek. Obóz był niczym wyspa na morzu, otoczona półpustynią. Na statek czekaliśmy prawie rok. Nie tracąc czasu, zorganizowaliśmy dwie szkoły, podstawówkę i gimnazjum.

Zorganizowano także życie towarzyskie. Wkrótce nawiązano regularną komunikację z miastem. Grupy ludzi jechały z przewodnikiem w ciężarówkach przerobionych na samochody osobowe. Zwyczajem stało się zatrzymywanie w chińskiej restauracji „Evee", aby posilić się talerzem smażonych ziemniaków i jajkiem w koszulce. Były pyszne. W Karaczi przebywał oddział amerykańskich lotników. Byli częstymi gośćmi obozu. Dzięki nim ludzie zobaczyli kilka dobrych filmów na ekranie umieszczonym pod gwiazdami. Widzowie siedzieli wygodnie na piaszczystej ziemi. Kiedyś mieliśmy pokaz tańca religijnego z hinduskiego teatru. To było wspaniałe. Koło teatralne wystawiło przedstawienie na scenie zbudowanej przez mężczyzn w obozie. Zanim Amerykanie się przenieśli, kilka dziewcząt zaręczyło się z lotnikami.

Pora deszczowa zamieniła pustynię w zielony raj. Liczne małe, suche krzewy pokryły się liśćmi, a ziemia trawą. Deszcz padał bez przerwy, a potem obóz został zalany. Aby dotrzeć do jadalni, szliśmy boso przez wodę sięgającą kolan.

W namiotach musieliśmy spać na łóżkach. W obozie roiło się od kobr, szakali i komarów. Epidemia malarii była nieunikniona.

Mały szpital nie mógł przyjąć wszystkich pacjentów. Wielu pozostało w swoich namiotach. Sytuacja była trudna dla wszystkich, pacjentów i personelu medycznego. Pomimo nędzy wszyscy przeżyliśmy.

W niedziele mieliśmy w obozie Mszę św., którą odprawiał katolicki ksiądz z miasteczka. W obozie odbył się ślub: Pan Haroński, nauczyciel, poślubił wdowę, panią Adelę Nazarewską. Na uroczystość przybyło wiele osób.

Obóz miał maskotkę – kozę. Koza mogła swobodnie wędrować po obozie. Wchodziła do namiotów, zjadała jedzenie, a nawet skarpetki i bieliznę. Była potulna i dzieci ją lubiły. Nikt nie wiedział, jak trafiła do obozu i kto był jej właścicielem.

Gubernator zapraszał uczniów gimnazjum do zwiedzania swojej rezydencji i ogrodu; nauczyciele i ja byliśmy ich opiekunami. Z wielką przyjemnością spacerowaliśmy alejkami, podziwiając krajobraz i egzotyczną roślinność. Dziewczęta otrzymały

pozwolenie na pływanie w basenie, co zostało bardzo docenione. Zrobiliśmy kilka zdjęć dobrze bawiących się dziewczynek.

Meble w namiotach były bardzo proste. Łóżka składały się z ram, czterech nóg i blatu tkanego mocnymi sznurkami. Aby ułatwić sobie życie, ludzie wykonywali składane krzesła i stoliki z materiałów znalezionych na obozowym wysypisku śmieci. Władze obozowe zezwalały na prywatne inicjatywy, w związku z czym pan Szostak miał pracownię, w której zatrudnił dwie kobiety, zajmujące się szyciem sukienek i płaszczy.

Pomimo braku wyposażenia, szkoły kształciły dzieci, ale w czerwcu 1945 roku zamknięto je. Duża grupa Polaków, w tym moja rodzina, wsiadła na statek płynący do Afryki. Płynęliśmy pod eskortą małej jednostki marynarki wojennej przez Ocean Indyjski przez dziesięć dni z bardzo dużą prędkością. Statek był przeciążony. W nocy był zaciemniony ze względu na niebezpieczeństwo wykrycia przez wroga. Aby przejść na górny pokład i dostać się do toalet, musieliśmy przejść pomiędzy śpiącymi na podłodze. Nawet umycie się stanowiło problem. Statek kołysał się gwałtownie. Wir oceanu kołysał łodzią i przyprawiał wielu ludzi o chorobę morską. Pod pokładem było potwornie gorąco i podróż była koszmarem. Dziesiątego dnia dotarliśmy do portu w Durbanie. Naszą dużą grupę ludzi wsadzono do pociągu i ruszyliśmy przez Afrykę na północ. Nie pamiętam, ile dni jechaliśmy. W Rodezji Południowej znajdował się słynny wodospad na rzece Zambezi. Byłam zachwycona niezwykłym krajobrazem Afryki z drzewami w pełnym rozkwicie. Gdziekolwiek spojrzałam, rosły czerwone, białe i fioletowe kwiaty. Przez całą drogę opiekowali się nami przewodnicy.

LUSAKA

O wczesnym zmierzchu dotarliśmy do obozu w buszu, znajdującym się niedaleko miasta Lusaka. Ogrodzony był drutem kolczastym, a wejścia pilnował strażnik. Zarządzała nim brytyjska administracja, ale w biurach zatrudnieni byli polscy urzędnicy. Obóz był duży jak wieś z wieloma małymi domami i ulicami. Był podzielony na kwartały oznaczone numerami i strzeżone przez milicję utworzoną przez Polaków. Była nawet cela dla więźniów. Większą część obozu zajmowało gimnazjum i szkoła podstawowa z internatem dla chłopców i dziewcząt pochodzących z obozów

w Abercorn i Bwana-Kubwa w Rodezji Północnej. Nasz dom znaleźliśmy niedaleko akademików dla chłopców. Pan Haroński z żoną zajęli dom obok naszego. Wszystkie budynki w obozie były podobne, z wyjątkiem urzędów, szkół, szpitali i domów dla ludzi wysokiej rangi.

Typowy dom składał się z czterech glinianych ścian, słomianego dachu bez stropów, jednych drzwi i trzech kwadratowych otworów na okna. Na noc zamykano je drewnianymi deskami. Podłoga była ziemna. Za oświetlenie mieliśmy lampę naftową, ale obóz był częściowo zelektryfikowany. W domu było wystarczająco dużo miejsca na cztery łóżka, wąski stół, dwie ławki, jedno krzesło i jeden regał na książki. Nogi mebli zanurzono w puszkach wypełnionych parafiną, by w ten sposób chronić nas przed mrówkami i termitami.

W pobliżu naszych domów znajdowały się toalety i prysznice. Kaplicę usytuowano w centrum obozu. W każdą niedzielę polski ksiądz katolicki odprawiał w niej Mszę św., uczył też religii w szkołach.

Wiadomości radiowych można było słuchać, gromadząc się wokół drzewa, do którego pnia przymocowany był megafon. Klub Y.M.C.A.[17] miał stołówkę i był centralnym ośrodkiem życia towarzyskiego obozu. Filiżanka kawy pomogła nam poznawać innych i budować przyjaźnie. W weekendy mieliśmy okazję obejrzeć angielski lub amerykański film. Działała także niewielka biblioteka z polskimi książkami. Wszystkie szkoły podlegały Ministerstwu Edukacji w Nairobi. Mój mąż otrzymał nominację do nauczania matematyki w dwóch niższych klasach gimnazjum. Ja zostałam zaangażowana do nauczania wszystkich przedmiotów w klasie piątej oraz do prowadzenia lekcji języka polskiego w szóstej klasie szkoły podstawowej.

Po roku przeniesiono mnie do gimnazjum, abym uczyła języka polskiego w dwóch niższych klasach. Jan rozpoczął naukę w gimnazjum i ukończył „szybki kurs" w ciągu jednego roku, zamiast dwóch. Zdzisław uczęszczał do szkoły podstawowej przez dwa lata, po czym po egzaminie został przyjęty do gimnazjum. Życie w obozie było wymagające, ciekawe, niemal normalne. Poznaliśmy wielu ludzi i znaleźliśmy kilku dobrych przyjaciół, z którymi utrzymywaliśmy kontakty przez wiele lat.

[17] Skrót od Young Men's Christian Association (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Mężczyzn).

W obozie ludzie spożywali posiłki z kuchni, gdzie kucharze gotowali w dużych kotłach nad wielkim ogniskiem. Blisko kuchni, pod dachem stały stoły i ławy, które służyły za jadalnię. Posiłki spożywaliśmy w domu. Jednak dietę, składającą się głównie z kukurydzy, należało uzupełniać mięsem, warzywami i owocami. Nasze zarobki wystarczały na ich zakup w mieście, a my sadziliśmy ziemniaki i hodowaliśmy kurczaki kupowane od tubylców.

W Lusace otrzymałam list od mojej matki. Przebywała w Polsce i zawdzięczała zwolnienie z więzienia doktorowi Lebensartowi.

Pewnego razu, spacerując po dziedzińcu więziennym, spotkała go. Poradził jej, aby napisała petycję do Trybunału Lekarskiego z prośbą o przeprowadzenie badań lekarskich. Tak też zrobiła. Trybunał uznał ją za całkowicie niezdolną do pracy. Ponieważ jej przestępstwem było zamieszkanie w Aszchabadzie, blisko granicy, bez paszportu i wizy, wysłano ją z więzienia do Mary, 300 kilometrów na północ. Odebrała walizkę z sierocińca i otrzymała trochę pieniędzy i ubrań. W Mary zamieszkała u rodziny Uzbeków jako ich służąca. Przędła dla nich bawełnę i robiła na drutach skarpetki. Po zakończeniu wojny sprzedała cały swój majątek i kupiła bilet do Baranowicz. Przebywała czasowo u Janiny, następnie wraz z grupą polskich repatriantów wyjechała do Polski i osiedliła się w miejscowości Kluczbork, gdzie utrzymywała się z niewielkiej emerytury. W liście prosiła nas o powrót do Polski. Jednak kilka miesięcy później błagała nas, żebyśmy zostali tam, gdzie byliśmy, bo żołnierze generała Andersa, którzy wracali do Polski z zachodu, byli zwykle aresztowani i wysyłani na Wschód. Ci, którzy pozostali na wolności, mieli ponure życie, widząc, że wszystkie drzwi do miejsc pracy były przed nimi zamknięte. Wielu zniknęło bez śladu.

W roku naszego przybycia do Lusaki wojna się skończyła. Życie w obozie nie mogło trwać wiecznie. Ludzie zaczęli się zastanawiać, jak przygotować siebie oraz młodych chłopców i dziewczęta do samodzielnego życia. W wyniku tych spekulacji zorganizowano dwie szkoły. Otwarto szkołę inżynierii mechanicznej, aby zapewnić chłopcom odpowiednie umiejętności, a dla dziewcząt otwarto szkołę krawiecką.

Mój mąż był bardzo zaangażowany w planowanie szkół i wprowadzanie tych planów w życie[18]. W 1946 roku, pod kompetentnym

[18] „Do Z.N.P. w Lusace; W związku z powstaniem Koła Zrzeszenia Nauczycieli

okiem pani Niemiro, otwarto klasę krawiecką dla dorosłych kobiet. Uczęszczałam do tej klasy. Później pomogło mi to zarobić na życie w Anglii.

Ludzie w obozie zaczęli rozglądać się po świecie za miejscem do osiedlenia się. Część zdecydowała się na powrót do Polski. Niektóre małe grupy i osoby samotne zaczęły przenosić się do Kanady, Argentyny i Stanów Zjednoczonych Ameryki. W 1947 roku statek należący U.M.C.A. po raz ostatni przewoził ludzi do Polski. Z powodu mojej ciąży straciliśmy możliwość swobodnego podróżowania i pozostaliśmy na obozie. Ponad połowa nauczycieli oraz dyrektor i Jarzyński z gimnazjum wyjechała do Polski. Nasz ksiądz również wyjechał i wielu uczniów wraz z rodzicami przeprowadziło się do Polski. Dwie wyższe klasy zostały zamknięte.

Zostaliśmy do 1948 roku, pracując w na wpół pustej szkole pod nowym dyrektorem. Ludzie szukali miejsca gdzie mogliby się podziać. Potem ci, których członkowie rodziny służyli w wojsku i wyjechali do Wielkiej Brytanii, zostali przewiezieni na pokładzie statku SS Carnival Castle do Southampton w Anglii. Józef, bratanek mojego męża, został już zdemobilizowany i pracował w Londynie. Mogliśmy do niego dołączyć, więc w maju 1948 roku zabraliśmy naszych chłopców, w tym pięciomiesięcznego Krzysztofa, pociągiem do Durbanu. Nadeszła nasza pora, aby wypłynąć w morze i rozpocząć trzecie życie w Anglii.

ANGLIA

Na początku mieszkaliśmy w Kornwalii, w obozie niedaleko Newquay. Następnie przeprowadziliśmy się do Londynu, gdzie

Polaków w Lusace w Płn. Rodezji, Delegat M.W.R i O.P. w Nairobi, p. Seweryn Szczepański, wystosował na ręce p. J. Polkowskiego w Lusace pismo następującej treści: Z prawdziwym zadowoleniem przyjąłem wiadomość o powstaniu koła Z.N.P. w Lusace. Zarządowi i Członkom nowo-zorganizowanej placówki Zrzeszenia Nauczycieli Polaków życzę jak najlepszych wyników w pracy dla przyszłej Naszej Niezależnej i Wielkiej Polski. Wierzę, że nauczycielstwo polskie tak wiernie trwające u boku konstytucyjnych i legalnych Władz Polskich, powróci kiedyś do Kraju z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wobec Boga i Ojczyzny. Jedności naszej nie potrafią złamać podszepty ludzi słabej woli, lub zakłamanych i sprzedajnych karierowiczów. O powstaniu Koła proszę powiadomić bezpośrednio Zarząd Główny ZNP w Wielkiej Brytanii /17 Chantrey House, Eccleston Str. London. S.W 1./ podając skład Zarządu Koła oraz imienną listę członków"; cyt. za: „Głos Polski. Tygodnik Uchodźstwa Polskiego w Afryce" 1945, r. 1, nr 13, s. 10.

Józef pracował. Zadomowiliśmy się tam i mieszkaliśmy od 1949 do 1981 roku. W 1951 Józef wyjechał do Ameryki. Ukończył szkolenie na radiooperatora i dostał tam bardzo dobrą pracę.

Mój mąż pracował w szkołach w Polsce, ale w Anglii nie mógł tego robić. Zamiast tego pracował jako elektryk w dużej fabryce, a następnie aż do emerytury pozostał w firmie Eastman's Cleaners and Dyers.

Mama pisała do nas listy, ale były między nimi długie przerwy. Dopiero w 1972 roku, mogliśmy sobie pozwolić na to, żebym mogła pojechać do Polski i odwiedzić matkę.

Najtańszym sposobem była podróż pociągiem, przeprawa przez kanał La Manche i podróż przez Europę. Podróż była bardzo długa. Byłam oszołomiona. Wszystko było jak sen, nierealne – mój wyjazd do Polski po trzydziestu dwóch latach nieobecności – i to, że wkrótce zobaczę się z rodziną. Po prostu nie mogłem się zrelaksować.

Niestety, mój mąż nie mógł mi towarzyszyć. Żołnierz Armii Polskiej pod dowództwem generała Andersa nie zostałby mile przyjęty w nowej Polsce. Podczas podróży poznałam Angielkę, która była żoną polskiego oficera. Jechała do Krakowa na spotkanie z rodziną męża. Była podekscytowana i niespokojna, czy mądrze jest pojechać samej do nieznanego kraju i przedstawić się rodzinie jako krewna. Długo rozmawialiśmy o Krakowie, o ludziach i sytuacji w Polsce. Znała historię Polski i chciała ten kraj zobaczyć.

Kiedy rozstawałyśmy się w Poznaniu, czułam się, jakbym już wcześniej ją znała, dawno temu. Na stacji w Opolu czekał na mnie mój brat Jerzy. Nie poznaliśmy się. Poczekał, aż zostałam sama na peronie, jako ostatni pasażer pociągu, czekający na peronie. Podszedł do mnie nieśmiało.... Nagle jednocześnie wyciągnęliśmy ramiona i płacząc z radości, objęliśmy się. Do Kluczborka pojechaliśmy autobusem. Potem wchodziłam po schodach na drugie piętro, mając przed oczami zapamiętany obraz matki. Czekała na szczycie schodów, niewiele się zmieniła. Pocałowałam ją w twarz, w dłonie… Mamo. Matka…. Jak cudownie było czuć jej ręce wycierające moje łzy… W jej pokoju przesiadywałyśmy, rozmawiając godzinami. Było tak wiele do opowiedzenia: o nas samych, o rodzinie, o poległych podczas wojny, o moim ojczymie, który zginął w Penley, niedaleko Wrexham w Walii.

Moja siostra Janina z Baranowicz na Białorusi nie mogła dostać wizy, żeby do nas przyjechać. Baranowicze były także moim domem. Tam urodzili się moi dwaj synowie, ale moje Baranowicze były w Polsce, a nie na Białorusi. Siedemnastego września 1939 roku Związek Radziecki zaatakował Polskę i podzielił prawie połowę Polski na wschodzie na Białoruś i Ukrainę. Już w następnym roku Janina zaczęła prosić w urzędzie o niezbędne dokumenty. Otrzymanie pozwolenia, wizy i biletu zajęło ponad sześć miesięcy. We wrześniu 1973 roku spotkaliśmy się w czwórkę u mamy. Z Gliwic przyjechali także moi kuzyni. Wszyscy przeszliśmy przez bardzo trudne, beznadziejne chwile, a mimo to żywi i zdrowi spotykaliśmy się. To było cudowne. Od tego czasu nie widziałam się z rodziną w Polsce, ale od wielu lat utrzymujemy kontakt listowny.

W 1980 roku zmarł mój mąż, a wielu naszych przyjaciół albo się wyprowadziło, albo też umarło. Krzysztof i ja zdecydowaliśmy się przeprowadzić do Long Eaton, niedaleko Nottingham, ponieważ mój syn Jan, który pracował w Central Television, przeprowadzał się tam z Londynu, aby być bliżej swojej pracy.

Przeprowadziliśmy się 7 sierpnia 1981 roku, a Krzysztof, który w akcie notarialnym zmienił nazwisko na Apollin Radziwill, i ja zostaliśmy mieszkańcami Long Eaton. Jan wraz z żoną Thelmą przeprowadził się do Keyworth, niedaleko swojej pracy i nas. Kilka lat później przeprowadził się tu także mój drugi syn Zdzisław z żoną Marią. Kupili dom obok mojego. Niedawno ich syn Richard również osiedlił się w Long Eaton. Mam więc wokół siebie prawie całą rodzinę, a nasi przyjaciele, państwo Tumilowiczowie, też tu mieszkali.

Bardzo mi się tu podoba. Jest tu mnóstwo rzeczy do zwiedzania, nauki. Jest co robić i czym się cieszyć. I mam tu moich przyjaciół. Miasto jest stare. Podobnie jak ja, pamięta dawne czasy.

Tłumaczenie i opracowanie Krzysztof Bąkała

The three lives of Felicja Polkowska. Part II

Keywords
Felicja Polkowska, World War II, deportations, kolkhozes, fate of Polish teachers, British Polonia, Kazakhstan

Abstract
The article is the second part of Felicja Polkowska's memoirs, published in English by Derbyshire Country Council Libraries & Heritage Department in 2000. The author's intentions were outlined in the foreword by Jenny Edgar, who edited the memoirs, expressing her belief in their value and importance to many people. The publication would not have had much chance of popularisation among readers, especially Polish-speaking readers, if it had not been for the genealogical search conducted by Linda Polkowski, the author's granddaughter. By a twist of fate, she found her relatives in Poland and they took a keen interest in her project. Following this, her Polish cousin Grażyna Liana, being aware of the project's value, managed to bring it to the attention of the editors of Kwartalnik Kresowy. The article is an important historical contribution to the subject of the tragic fate of the Polish population living in the eastern territories of the Second Republic after their occupation by the Soviet Union.